MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 36. WARSZAWA, 7 WRZEŚNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIECO O „ZAŚLEPIENIU"

„ONI naogół rozumują całkiem normalnie, ale w tym jedynym wypadku są zupełnie zaślepieni: gdy rozmowa schodzi na temat tego człowieka, nie potrafią wnioskować logicznie i spokojnie, nie przekonywają ich najjaskrawsze nawet fakty, najbardziej nieodparte argumenty" — temi mniej więcej słowami niejednokrotnie określa się u nas stanowisko polityczne poszczególnych jednostek, a także całych ugrupowań. „Zaślepieni" — ta formuła uważana jest za najwłaściwszą definicję zjawiska, a równocześnie za wystarczające jego wytłumaczenie, czy nawet usprawiedliwienie. Rzecz tymczasem bezsprzecznie przedstawia się w sposób bardziej złożony i zasługuje na rozpatrzenie gruntowniejsze i bardziej szczegółowe.

Przedewszystkiem warto przyjrzeć się bliżej, kto są ci „zaślepieni"? Nie spostrzega się tego „zaślepienia" wśród młodzieży akademickiej, zatem żywiołu z natury rzeczy najbardziej skłonnego do entuzjazmu, zapalnego, w którym młodzieńczej ufności i bezpośredniości nie zdążyły jeszcze wystudzić ani zawody życiowe, ani potrzeba rachowania się z praktycznemi „koniecznościami" i względami. Mało bardzo możnaby naliczyć „zaślepionych" pośród młodszego pokolenia wszelkich wogóle warstw i zawodów. Nawet przysłowiowe pod względem braku wyrobienia politycznego pensjonarki nie mogą być pomawiane o patrzenie na sprawy publiczne oraz na kierownicze w Państwie osobistości w sposób, w jaki — według Franciszka Djonizego Kniaźnina — rzeczy takie oceniają białogłowy: „Jakże mu pięknie z temi wąsami!"

„Zaślepienie" dotyka natomiast ludzi, których zmysł praktyczny w interesach i w urządzaniu swoich spraw osobistych często bardzo bywa przedmiotem słusznego podziwu. Znaleść ich można wśród dyrektorów wielkich banków i przedsiębiorstw, „zaślepieni" są wysocy dygnitarze, starzy, rutynowani agitatorzy, wygi dziennikarskie, co z niejednego pieca chleb jadali i niejednemu już mieli w życiu sposobność się przyglądać. Pośród wojskowych największego bodaj odsetka „zaślepionych" dostarczają ci właśnie, którzy z racji funkcyj swoich powinniby odznaczać się szczególniejszą trzeźwością, chłodem rozumowania, ostrożnością a nawet nieufnością, mianowicie oficerowie II oddziału Sztabu...

Widoczne więc, że jest w tem wszystkiem niemało obłudy, w wielu wypadkach najzupełniej cynicznej i świadomej. Jeżeli jednak obłuda taka istnieje i uprawiana jest z powodzeniem, dzieje się to jedynie na tle zjawiska ogólniejszego i głębszego, które takie stosunki umożliwia.

Tem zjawiskiem jest niedostateczny rozwój indywidualności ludzkiej, który sprawia, że jednostki łączą się w grupę polityczną nie w pełni poczucia własnej osobowości i godności, zrzeszając się dla urzeczywistnienia wspólnego celu, ale przeciwnie zatracają się w grupie jako całości, niczem osobnik w tłumie. Powstaje w ten sposób nie organizm zbiorowy wyższego rzędu, oparty na świadomości i odpowiedzialności moralnej poszczególnych członków, oraz wzajemnie świadomość tę pogłębiający i wzmacniający, ale zespół niższego rodzaju, gdzie poczucie osobistej odpowiedzialności człowieka osłabione jest przez jej podział, rozłożenie jej częściowe na wszystkich członków, należących do grupy. W tych warunkach jednostka przestaje wstydzić się, ogłaszając niemądre ględzenia za wykwit politycznego rozumu, jeżeli widzi, że niektóre organy prasowe, a także liczne gromady

jej towarzyszy organizacyjnych hałaśliwie wykrzykują to samo. Przestaje nawet oburzać się na występki i nieprawości, jeżeli spostrzega ich bezkarność, jeśli w zespole, do którego należy, nie są one w sposób właściwy piętnowane, zaś powszechny brak odruchu moralnego ze strony otoczenia i ją samą, w jej przekonaniu, zwalnia od stawiania sumieniu swemu pytań zbyt niewygodnych i drażliwych. Dzieje się to tem łatwiej i tem powszechniej, że i opinja publiczna, nienawykła do istnienia mocniejszych indywidualności, nie jest u nas w takich razach zbyt natarczywa i nie domaga się od jednostki osobistego zdawania rachunku z politycznych stanowisk i sympatyj.

„Zaślepienie" staje się w tych okolicznościach poprostu formą nieodpowiedzialności osobistej w stosunku do własnych opinij i własnych czynów. Jest to jakgdyby system „luzów" moralnych i umysłowych, odpowiadający, w dziedzinie gospodarki duchowej, systemowi „luzów budżetowych" w zakresie gospodarki materjalnej. System sprzeczny niewątpliwie z zasadniczą linją rozwoju cywilizacyjnego, która w obydwu wypadkach prowadzi od nieokreśloności i niejasności do świadomości, ścisłości i kontroli, nie zaś w kierunku odwrotnym.

O ile jednak w zakresie gospodarki materjalnej istnienie „luzów" może być niedopuszczone przez odpowiednio przeprowadzony nadzór z zewnątrz, „luzy" w gospodarce duchowej wymagają przedewszystkiem kontroli wewnętrznej, innemi słowy: należytego zorganizowania osobowości na fundamencie ładu myślowego i etycznego. Na „zaślepienie" jedynem lekarstwem jest wzmocnienie w jednostce poczucia godności ludzkiej, szacunku dla samej siebie, odpowiedzialności osobistej za wygłaszane poglądy i podejmowane działania. Osiągnąć tu można wiele przez umiejętne odwoływanie się do czynnika, jaki w duszy każdego chyba człowieka w takiej czy innej postaci istnieje i działa, mianowicie do uczucia wstydu.

JAN REMBIELIŃSKI

MASONERJA A OKULTYZM

„PROFAN", niewtajemniczony w tajniki Masonerji, doznaje uczucia zdziwienia, dowiadując się, że grono ludzi, oddanych we Francji zwalczaniu Masonerji, na czele których stoi prałat mgr. Jouin, zajmuje się między innemi sprawami okultyzmu i wydaje poświęcone tym kwestjom pismo „Masonerja a okultyzm". Jaki istnieje pomiędzy niemi związek?

Ze zrozumiałem zainteresowaniem bierze się wobec tego do ręki książkę, poświęconą właśnie okultyzmowi i Masonerji[1]). Książka ta nie wyszła z kół, grupujących się koło prałata Jouin i jego „*Révue Internationale des Sociétés Sécrétes*". Autor nie pragnie zwalczać Masonerji, a jeżeli traktuje naogół niechętnie i surowo Masonerję obrządku szkockiego, nie wyraża się nigdzie z krytyką o Masonerji symbolicznej. Stosunku swego do Masonerji w książce nie określa. W przedstawieniu rzeczy idzie po myśli tych licznych dziś pisarzy, rekrutujących się naogół z obrońców i przyjaciół Masonerji, którzy starają się zmniejszać jej znaczenie w oczach szerokiego ogółu; omawiając jedną stronę jej oblicza, jaką jest okultyzm, tak zaciera inne, że trudno jest położyć to jedynie na karb chęci ograniczenia się do swego tylko tematu i rzecz robi niekiedy wrażenie metody, stosowanej celowo: niknie w jego przedstawieniu całkowicie polityczna strona działalności Masonerji i zaledwo odgadywać się dają jej tendencje antykatolickie lub antyreligijne; Masonerja staje się rodzajem niewinnej, mniej lub więcej płytkiej zresztą, zabawki.

Bardziej wyraźnie, pomimo chęci niezaznaczania go, rysuje się oblicze autora, gdy chodzi o okultyzm. Autor zaznacza w przedmowie, że nie chce bynajmniej rozstrzygać, czy okultyzm jest skarbcem wiedzy transcendentalnej, czy też pułapką, zastawioną na naiwność głupców. Traktuje go jak fenomen psychologiczny, którego historją zająć się jednak warto. Jeśli bezstronność swą w omawianiu spraw okultyzmu posuwa tak dalece, że mówiąc o przesądach, gwałtach i zabobonach, będących przedmiotem magji, nigdzie nie nazywa ich tem imieniem, to również uderza w książce, ocierającej się wciąż swym tematem o religję, nieużycie w niej ani razu słowa Bóg. Gdzie nie mówi się o Jehowie, którego imię powtarza się po wielokroć, tam Bóg nazwany jest Pierwszą Przyczyną (*Cause Première*). Mówiąc o wpływach magji na sekty chrześcijańskie w pierwszych wiekach po Chrystusie, nie wspomina autor ani słówkiem, że sekty te Kościół potępił.

Książkę swą dzieli autor na dwie części. W pierwszej zajmuje się doktryną i teorją okultyzmu, w drugiej mówi o tem, w jaki sposób Masonerja, której legendę o mistycznych, sięgających w średniowiecze początkach, dawno już, zdaniem autora, rozwiały badania historyków, jak: Hughan, Gould, Schiffman, Beyemann i inni, stała się schroniskiem okultyzmu. Ta druga część książki, słabsza od pierwszej, nieco chaotyczna w układzie, pozostawiającym luki i niejasności, zasługuje jednak na to, aby się z nią bliżej zapoznać.

CO TO JEST OKULTYZM?

Okultyzm, powiada nam autor, jest wyrazem dwóch dążności: chęci przeniknięcia poza podlegającą zmysłom rzeczywistość i chęci wywarcia wpływu na siły, które nas otaczają, a od których zależy nasze powodzenie w zakresie spraw moralnych i materjalnych. Podstawą jego jest spirytualizm pneumatologiczny, który głosi, że wszelkie objawy życia, czy to żywioły i ciała niebieskie, czy to wypadki szczęśliwe lub nieszczęśliwe, wszystko, jednem słowem, co podpada pod nasze zmysły, jest spowodowane i wprawione w ruch przez istoty niewidzialne, obdarzone inteligencją i wolą. Kto zna ich hierarchję, siłę i zakres działania, rozumie istotę świata i w pewnych wypad-

[1]) R. le Forestier: „*L'occultisme et la Franc — Maçonnerie écossaise*". Paris, 1928.

kach może wpływać na owe duchy swą wolą, przy pomocy odpowiednich formuł i praktyk.

Jednakże—i jest to, jeśli nie najbardziej charakterystyczną to najwybitniejszą cechą okultyzmu — nie chce on tej wiedzy czynić własnością tłumu, najpierw dlatego, że nie każdemu dana jest władza rozkazywania duchom, następnie zaś w obawie, by „źli ludzie" nie nadużyli tej siły. Tajemnicę posiąść mogą tylko wypróbowani...

Okultyzm wywodzi swój rodowód w prostej linji od magji. Niewzruszonym postulatem, na którym opiera się magja, jest przypisywanie ludzkiej woli możności wywoływania lub powstrzymywania pewnych zjawisk przez działanie na przyczyny, które je wywołują. Co do przyczyn tych istniały, jak się zdaje, kolejno dwie koncepcje, którym odpowiadają dwie formy magji. Starsza, magja d y n a m i c z n a i a n i m i c z n a twierdzi, że wszelkie zjawiska ziemskie lub niebieskie, jak deszcz, burze, roślinność, zapładnianie i t. p. mają swoje dusze, niewidzialne, lecz materjalne, wprawiające owe zjawiska w ruch. Gdy człowiek pierwotny przed spożyciem zboża spala jego cząstkę, wierzy, że wyzwala w ten sposób duszę zboża i że może się wobec tego niem żywić, nie zmniejszając tej siły żywotnej, która każe dojrzeć następnym zbiorom. Gdy znachor zawiesza na drzewie lub pali strzęp materjału, który dotykał ciała chorego, wierzy, że w materjał ten przeszła dusza choroby, od której wyzwala pacjenta. Wszystkie te praktyki opierają się na jednem z podstawowych twierdzeń magji, że część jest identyczna z całością.

Drugi rodzaj magji, magja t h e u r g i c z n a, wierzy, że szczęście nasze lub nieszczęście zależy od złych i dobrych duchów, mających, jak człowiek, wolną wolę i podlegających, jak człowiek, litości i obawie. Duchom tym człowiek może rozkazywać za pomocą wymówienia ich imienia. Skoro bowiem część jest identyczna z całością, imię ducha identyczne jest z jego istotą. Wymówienie dokładne imienia jest więc zasadniczym składowym czynnikiem wszelkiego zaklęcia. Imieniu odpowiadają figury geometryczne, hieroglify, liczby i tam, gdzie litery są zarazem liczbami, litery. Wyrysować te figury, litery i hieroglify, znaczy to wzmocnić siłę zaklęcia.

Magja jest w wierzeniach najdawniejszych zarazem sztuką i nauką, wymaga bowiem od tych, którzy się jej oddają, zarówno specjalnych uzdolnień, jak zachowywania skomplikowanego i drobiazgowego rytuału. Magowie najdawniejszych czasów byli niewątpliwie ludźmi silnej woli, zdolnymi narzucać ją innym, ale ceremonjał, który odprawiali, był zawsze uważany za niezbędny; aby działalność odniosła skutek, musiał być odprawiony w określonym porządku i w określonych porach.

Ten rytuał właśnie, chroniony od oczu profanów, stanowił tradycję, przekazywaną ustnie tylko wtajemniczonym.

HISTORJA MAGJI I KULTYWOWANIE JEJ PRZEZ ŻYDÓW

W historji magji, z którą autor zaznajamia czytelnika szczegółowo, uderza, podkreślana przez autora, rola, jaką odegrali w kultywowaniu magji Żydzi.

Praojcowie ich stali już u jej kolebki. Jakkolwiek bowiem ślady magji odnajdujemy we wszystkich pierwotnych religjach, za ojczyznę jej należy uważać Chaldeę. Magja, jako tajemna wiedza, powstała ze zmieszania z sobą wierzeń dwóch szczepów etnograficznych, które, zlawszy się z sobą, utworzyły ludność Chaldei: Turańczyków, czyli Scytów, stanowiących mieszaninę rasy białej i żółtej, którzy przybyli z wyżyn Ałtaju, i Kusytów, pra-Semitów. Turańczycy wierzyli w duchy złe i dobre, w sześć klas demonów, które sprowadzały burze, trzęsienia ziemi, zaćmienie słońca, i przeciw którym bronili się zapomocą zaklęć. Kusyci przynieśli z sobą wiarę w swoich bogów, którymi byli: Bel, pan przestrzeni, słońce, księżyc i gwiazdy. W ten sposób wszedł do magji, stanowiący odtąd jej składową część, pierwiastek astrologiczny, wiara we wpływ gwiazd na losy ludzkie, oraz wiara w fatalizm. W drugiej księdze kodeksu kapłańskiego Babilońskiego, znajdujemy nietylko zaklęcia przeciw chorobom, ale i przepisy, jak należy uzdrowić księżyc, który podległ zaćmieniu, i inne wiadomości z zakresu astrologji.

Z Chaldei rozszerzyła się magja wśród ludów aryjskich Indostanu i Persji, gdzie weszła w skład narodowej religji mazdeizmu i otrzymała, jak wiadomo, swoją nazwę od kasty kapłańskiej *mogousz*, po grecku *mogi.* Z Egiptu wziął okultyzm nową gałąź swej wiedzy, alchemję, opartą o wiarę w zasadniczą jedność materji, *Materia Prima*, której najwyższym wyrazem jest złoto. Alchemja wiązała się ściśle z magją i astrologją, i w pismach, traktujących o alchemji, jak np. słynny papyrus z Leydy z III wieku po Chrystusie, i inne, mamy obok traktatów o pokrewieństwie roślin i metali, wiadomości o wpływie gwiazd i planet na produkcję metali, alfabety magiczne, opisy ceremonij, które odprawić trzeba, by sprowadzić nieszczęście na nieprzyjaciela lub rozłączyć dwoje małżonków, zaklęcia, których użył Demokryt, by wywołać z piekieł cień Ostenesa i t. d.

Magja przechodzi w ciągu wieków różne koleje, zanika i słabnie w czasach rozkwitu wiary i wzmocnienia się autorytetu religji, podnosi głowę, gdy, z załamaniem się wierzeń narodowych i tradycyjnych, otwierają się okresy anarchji intelektualnej i moralnej, (takiemi są okres neo-aleksandryjski, czasy renesansu, wiek 18-ty).

W pierwszych czasach chrześcijaństwa odnajdujemy ją w najrozmaitszych sektach. Gnostycy np. czynią zbawienie zależnem od Gnozy, t. j. wiedzy, w którą uczeń zostawał wtajemniczanym stopniowo, przyczem cała ludzkość dzieliła się na klasy, z których ostatnia tylko, trzecia, mogła osiągnąć najwyższy stopień wtajemniczenia. Gnoza opierać się miała jakoby na ustnej tradycji, sięgającej czasów Chrystusa i Apostołów. Znajdujemy w niej wiarę we wpływ ciał astralnych, zbawienie zależy w dużym stopniu od zaklęć i egzorcyzmów przeciw złym duchom, od posiadania znajomości pewnych tajemniczych imion, które nawet potępionemu już człowiekowi otworzyć mogą drzwi piekieł.

Wpływy magji widoczne są u Manichejczyków, Neoplatończyków, Neopitagorejczyków, najsilniejsze zaś w Tajemnicach Mitry, kulcie, biorącym początek wprost z mazdeizmu, rozpowszechnionym między IV w. przed Chrystusem, a IV w. po Chrystusie i popularnym wśród legjonów rzymskich. I tu odpędzano złe duchy zapomocą zaklęć, i tu tylko wtajemniczeni mogli przebyć siedm nieb planetarnych, z których każdego strzegł anioł Ormuz, i wejść do ostatniego, ósmego nieba, będącego siedzibą bogów.

Poprostu szkołami magji były misterja Djonizosa, Cybeli, Izydy, Hekaty, odprawiane przez neo-orfizm.

Pomimo to — powiada autor — prawdziwymi strażnikami tradycji okultystycznej byli zawsze Żydzi. To też uważa za stosowne cały osobny rozdział historji magji poświęcić magji u Żydów. Za nauczycieli magji uważali Żydów zawsze zarówno chrześcijanie, jak poganie. Pisarze rzymscy z II wieku po Chrystusie mówią o hebrajskim, jak o żargonie, który służy jedynie do zaklęć. Słowa: Adam, Mojżesz, Izaak, Jakób, Salomon, uważane były w Egipcie za pierwszorzędne talizmany. Gnostycy i inne sekty chrześcijańskie, hołdujące magji, z hebrajskiego brali słowa do zaklęć i amuletów. Alchemicy wierzyli w wiedzę ezoteryczną Żydów. W średnich wiekach prześladowano Żydów, tak jak prześladowano czarownice, za oddawanie się magji.

Biblja wprawdzie (Księga Ezdrasza XXII, 18) odrzuca wszystko, co idzie z Chaldei, a w szczególności magję, zabrania pozostawiać magów przy życiu, wierzyć w czary, zaklęcia i wróżbitów, ale, wbrew zakazom proroków, Żydzi mieli zawsze skłonność do magji, mieli amulety i talizmany i posiadali formuły zaklęć. Od czasów niewoli Babilońskiej monoteizm żydowski zatracił swój pierwotny charakter w stopniu bardzo znacznym. Tworzone wówczas w Chaldei liczne „szkoły Babilońskie“, cieszące się większą wziętością, niż upadające szkoły palestyńskie, zaniedbywały spekulację religijną na rzecz magji. Ślady wpływów babilońskich widzimy już w nowszych częściach Biblji, a wpływy te nie słabną potem, ale potęgują się w nowszych księgach żydowskich. Przesiąknięte są magją oba Talmudy, zarówno Jerozolimski, jak Babiloński. Głoszą one wiarę w „złe spojrzenie“, które może być śmiertelne, dają przepisy, jak ustrzedz się przed tem złem spojrzeniem, jak obronić się przed demonem Lilith, w którego wiarę Żydzi przynieśli również z Babilonu, a który grozi kobietom ciężarnym i nowonarodzonym dzieciom, wiarę w złe duchy, otaczające człowieka od kolebki do grobu, wreszcie powiadają wyraźnie, że tajemnice Thory mogą być wyjawione tylko tym, którzy znają do głębi praktyki magji i formuły magiczne. Niektóre wierzenia magji, jak np. wiarę w potęgę tajemniczego imienia bóstwa, Żydzi doprowadzili do ostatecznej konsekwencji. Imię Jehowy jest częścią jego istoty, wymówić to imię, jest to mieć część jego potęgi.

Talmud powiada, że, wymawiając to imię, Mojżesz pobił Egipcjan, a Eleazar wzniósł się w powietrze. Salomon zawdzięczał swoją potęgę temu, że miał pierścień, na którym imię to było wyryte.

Bardziej interesujące są informacje księgi *Misdraszim* o tem, jak robić od uroków „figę“ i „podwójną figę“ (zgodnie z przyjętą założeniem, autor traktuje te informacje zupełnie poważnie) — są wiadomości, podane przez tęż *Misdraszim* oraz przez *Misznę*, o bractwach żydowskich, kultywujących tajemną wiedzę, których cechą jest odgrodzenie się od świata profanów. Są to *Vatikim* (Silni), *Banaim* (Budowniczy), *Assiim* (lekarze dam), *Ausze Mane* (Cudotwórcy).

Żadna jednak ze świętych ksiąg żydowskich nie jest tak przesiąknięta magją, jak najmłodsza z nich, pochodząca, jak wiadomo, z XIII-go wieku, „Kabała“. Autor nazywa ją encyklopedją ezoterycznej wiedzy żydowskiej, pomimo całego chaotyzmu, jaki ją cechuje. Operuje ona materjałem nietylko odziedziczonym, ale go powiększa procederami, które są techniką hypnozy.

Gdy więc za Renesansu, z osłabieniem wiary, uczeni zwrócili się ku okultyzmowi, sięgnęli do teoryj Wschodu i do Kabały żydowskiej. Studjował ją Pic de Mirandola i Reuchlin, który napisał potem Kabałę chrześcijańską, badali ją Jakób Boehme i inni, w 1552 r. pojawiło się jej łacińskie tłumaczenie. Autor przytacza nam podstawowe wierzenia uczonych Renesansu, tych najuczeńszych może kabalistów, jacy kiedykolwiek istnieli.

A więc: 1) Materja jest objawem świata duchów, ciała niebieskie, gwiazdy, planety posiadają motory duchowe, obdarzone wolą i inteligencją; 2) gwiazdy wpływają na losy ludzi; 3) wszechświat zbudowany jest identycznie, jak człowiek, który jest jego odbiciem (*Macrocosmos* i *Microcosmos*) i 4) każdy organizm żywy znajduje się pod znakiem trójki; człowiek składa się z ciała materjalnego, z ciała astralnego i z duszy, albo też z ciała i z dwóch dusz; ciało składa się z trzech głównych części: głowy, piersi i brzucha, i t. d.

W XVIII wieku, jako protest przeciwko suchemu racjonalizmowi, powstaje znowu zwrot ku okultyzmowi, nie wśród uczonych tym razem, ale wśród szerokiej publiczności. Kult Rozumu jednak narzuca się umysłom z taką siłą, że jedynie rzadcy mistycy, jak Swedenborg, Saint-Martin i inni mają dość odwagi, aby przeciw niemu wystąpić jawnie. Masy, szukające ujścia dla swych skłonności do rzeczy cudownych, kryją się z niemi. Otóż—tak usiłuje wytłumaczyć ten związek autor—istnieje stowarzyszenie, które jak najbardziej nadaje się po temu, aby się stać ich schroniskiem. Jest niem Masonerja.

(Dok. nast.) MACIEJ WIERZBINA

PAMIĘTNIKI „CHOREGO NA MOSKALA”

Odwieczny nasz błąd: zwracanie się twarzą, piersiami, natężeniem pasji i wszystkich sił do walki jedynie ze wschodem — znowu toczy nasz organizm i nasze jestestwo.

Żeromski w r. 1925.

NIEWOLA wytwarzała w Polsce całe mnóstwo ludzi, którzy nie są do pomyślenia w warunkach bytu zdrowych i normalnych. Śród wielkiej tej masy wyodrębnić się jednak dadzą, jak to robił Trentowski w swych „Wizerunkach Ojczyźniaka“ (1847), pewne najjaskrawsze typy, a w obrębie każdego z nich możemy odszukać osobnika, skupiającego w sobie klasyczne cechy danego typu.

Znany jest typ Polaka „chorego na Moskala”. Jest to niemal zawsze bezpośredni produkt niewoli: człowiek wychowany śród Rosjan, w szkole rosyjskiej, w rosyjskim socjalizmie i konspiracji, przesiąknięty rosyjską kulturą, bardzo często wracający z Sybiru i gloryfikator powstania styczniowego, zupełnie niezdolny do objektywnego spojrzenia na rzeczywistość i robiący z nienawiści do Rosji jedyną sprężynę swych działań. Tak, jak człowiek zmysłowy, nawet zwalczając swą namiętność najgwałtowniej, wszędzie wietrzy pokusę; jak psychiczna organizacja religijna łatwo się przerzuca od pozytywnego kultu do ateizmu — tak duchowy

pupil Rosji równie łatwo umie się w niej rozkochać, jak też znienawidzić ją z całych sił, z całego serca, ze wszystkich pomyśleń. W nienawiści tej celują zresztą sami Rosjanie. Znane jest zjawisko rosyjskiego „*samooplowywanja*“. Trudno chyba o jaskrawszy wyraz nienawiści do ojczyzny, jak ten, który pozostawił poeta rosyjski, Pieczorin: „*Ach kak sładostno otcziznu nienawidieť i żadno żdať jeja unicztożenja, i w gibieli otczizny widieť wsiemirnaho diennicu wozrażdienja*“. Ustosunkowanie się bowiem Rosjanina do ojczyzny nie mieści się w kategorjach polityki, lecz — podobnie jak zresztą u Polaka — tkwi właściwie w sferze religji.

Śród licznych, sto razy nadto licznych osobników typu „chorego na Moskala“, wybija się u nas bezwarunkowo na pierwsze miejsce Władysław Studnicki, który się przypomniał niedawno swemi pamiętnikami [1]). Któż nie zna Studnickiego? Ogromna jego ruchliwość, niepospolita energja, żywy i namiętny styl jego przemówień i pism, bezprzykładna odwaga w głoszeniu przekonań, niemal zawsze przechodząca w zuchwalstwo, jednostronność argumentacji, połączona jednak z wiarą w słuszność swoich, prawie zawsze beznadziejnie naiwnych, koncepcyj, oraz, pomimo tysiącznych zawodów, z wiarą w moc słowa i w możliwość przekonania innych (cecha bardzo chwalebna!), żądza efektu natychmiastowego, i jednocześnie każdorazowe zlekceważenie tego efektu, — a wszystko to połączone z wyjątkową osobistą bezinteresownością — oto sylwetka duchowa Studnickiego. Niema w Polsce człowieka, z którymby Studnicki chociażby przez dzień nie szedł ręka w rękę, i odwrotnie, niema takiego, z którymby się w końcu nie rozszedł i nie pokłócił, ale tak — na całego! (Np. na str. 238 się zwierza, że współpracując przez czas dłuższy z Piłsudskim, później, w r. 1917 „żałował, że go nie zastrzelił przedtem“).

Każdy obóz, każde stanowisko gotów był on uznać za swoje, jeśli tam był dostrzegł moment walki z Rosją, i, odwrotnie, zrywał bez wahania wszelkie stosunki z każdym, kto tę walkę podporządkowywał jakimś względom innym, chociażby to było dobro Polski.

Studnicki zresztą Polski nie znał i nie zna dotychczas. Nie wierzy w nią, nie wgląda w nurt biologiczny jej dziejów, nie rozumie ani jej historji, ani konieczności jej bytu. Nie zdaje on sobie sprawy z tego, że naród ma swe życie własne, które można, prawda, odpowiednio zabarwić, i którem można kierować, ale którego niepodobna zlekceważyć. Naród dlań — to bierny objekt, którego losy można urządzać bez niego (*vide*: Konrad Wallenrod), a nawet wbrew niemu (*vide*: Konrad w III cz. „Dziadów“) Studnicki nie zna zupełnie patrjotycznej rezygnacji, nieodłącznej cechy każdej miłości, rezygnacji, pobudzającej do krytycznego spojrzenia na własne stanowisko i do gotowości ustąpienia zeń dla oczywistego dobra Ojczyzny. Snadź nie przeżywał on nigdy owego twórczego zwątpienia, które, wedle Kartezjusza, jest koniecznym warunkiem wszelkiego poznania, a więc również poznania politycznego. W przeciwniku dostrzega on tylko albo złą wolę, albo małoduszność i pobudki materjalne, albo wreszcie głupotę. Natomiast nie ujawnia on najmniejszego wysiłku do wyszukiwania w rozumowaniu przeciwnika chociażby okruszyny słuszności. Stąd płynie jego absolutna niezdolność do kompromisu i do jakiejkolwiek pracy kolegjalnej, gdyż nie znosi on wprost organicznie stanowiska odmiennego, niż własne.

Sądzę dalej, że dzięki zupełnemu brakowi zmysłu filozoficznego oraz nieprzedsiębraniu bodaj nigdy jakichkolwiek studjów filozoficznych, Studnicki nie zdaje sobie sprawy z nieuniknionego subjektywizmu wszelkich naszych zapatrywań; zdaje się, nie rozumie on tego, że poglądy nasze zależą w dużej mierze od kąta, z którego na dane zjawisko patrzymy, i że dopiero przez syntetyczne ujęcie tych mnogich punktów widzenia może pewien pogląd pretendować do stania się wytyczną, obowiązującą całe społeczeństwo. Tymczasem Studnicki stara się zaszczepić nienawiść do Moskali nawet w Poznańczykach (był u nich w r. 1911), nawet w Czechach (1912), już nie mówiąc o Węgrach (1912), którym nader misternie tłumaczy grozę niebezpieczeństwa rosyjskiego dla nich (!) i potrzebę wojny z Rosją, acz przyznaje sam, iż Węgry tej wojny nie chcieli, bo nie mieli nic do zyskania, zato mogli wszystko stracić (str. 348), (Też swoista miłość bliźniego!).

Bo nienawiść każda, zgodnie z etymologją wyrazu, (*invideo = non video*, jak to tłumaczy Héllo), o ile staje się głównym motorem działalności człowieka, zaciemnia należyte widzenie rzeczy i pozbawia zdolności logicznego rozumowania. To też rzeczą wielce znamienną i świadczącą o zdrowiu moralnem naszego narodu jest okoliczność, że pomimo tysiącoletniej walki z Niemcami (czy też może ze względu na jej stały charakter), Polak nienawiści do Niemca nie żywi. Tymczasem przejściowy antagonizm do Rosji musi być snadź podsycany paroksyzmami nienawiści, uniemożliwiającej ingerencję rozumu. Więc np. Studnicki nie jest w stanie zrozumieć roli sprawy polskiej w całokształtcie polityki europejskiej i wszechświatowej, ani jej zależności od tej polityki. Nigdzie np. w całej książce niema u niego mowy o tem, że wielka wojna (na chwili jej wybuchu, t. I się kończy) miała być prowadzona między dwiema koalicjami, w których zarówno Rosja jak i Austrja odegrać miały z konieczności rolę drugorzędną, czyli, że los nasz zależał nie tyle od losu walk na jednym odcinku, ile od rezultatu zmagań się ogólnych, i to nie tylko w polu, ale też w ciszy gabinetów, oraz... na giełdzie.

Studnicki nie dopuszcza nawet do siebie tych myśli, i tutaj niepodobna wprost przypuścić, by to czynił z dobrą wiarą.

Nakoniec zagadnienie najciekawsze: jakie ma znaczenie i jaki skutek wywołuje działalność Studnickiego? Czynność pewną uznajemy za celową, gdy osiąga skutek przewidziany, zgodny z zamierzeniem. Tymczasem poczynania o charakterze skrajnie-indywidualistycznym mają to do siebie, że wywołują nieodzowną reakcję i mobilizują przeciw sobie inne opinje, nakazując im zrzeszać się dla skutecznego oporu. Gdy w orkiestrze jeden instrument, zapomniawszy o swej roli czynnika współrzędnego, stara się przekrzyczeć inne, *par force* wybić się na czoło i zamącić melodję, — wszystkie pozostałe instrumenty tem stanowczej manifestują swe prawo do głosu i konsolidują się tem ściślej, im gwałtowniej ów niesforny instrument pragnął narzucić swą indywidualność całości.

[1]) Z przeżyć i walk, t. I, str. 384, z 4 portretami autora.

To też parafrazując słowa Goethego, rzec można, że skrajny indywidualista jest to *„ein Teil von jener Kraft, die stets das Eine will, und stets das Andere schafft“*.

I skutek działalności Studnickiego jest wręcz przeciwny jego założeniom. Pamiętam z własnego doświadczenia, jak w r. 1910, będąc jeszcze studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i zdecydowanym rusofobem, po przeczytaniu „Sprawy polskiej“ Studnickiego, zachwiałem się nieco w swym antagonizmie do Rosji, — i wtedy dopiero przeczytałem uważnie książkę Dmowskiego o Rosji i o Niemczech, której przedtem nie chciałem brać do ręki, dowiedziawszy się, że Dmowski pragnie skupić uwagę czytelnika na antagonizmie polsko-niemieckim.

Obecnie, jak mi się wydaje, pamiętniki Studnickiego wywołują ten przedewszystkiem skutek, że budzą sprzeciw czytelników wprost proporcjonalny do stopnia pasji autora. Weźmy np. zasadniczą jego tezę:

„Rosja ujarzmiła i dzierży w swem posiadaniu trzy czwarte naszego terytorjum dziejowego— stąd jest głównym antagonistą“. (Str. 273).

Ludzie, przyzwyczajeni do logicznego myślenia, zakwestjonują w tem zdaniu takie punkty: a) czy terytorjum d z i e j o w e jest identyczne ze sferą interesów aktualnych? b) czy w i e l k o ś ć obszaru nie jest przypadkiem czynnikiem drugorzędnym wobec jego wartości, oraz wobec metod ucisku, energji, planowości poczynań wroga, samodzielności jego polityki wogóle i t. d.?

Jeszcze mniej krytyki wytrzymuje dalsza teza Studnickiego: „Antagoniści Rosji są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami“. Tu już wszelka dyskusja jest zbyteczna, przynajmniej żaden chrześcijanin pod tą tezą się nie podpisze.

Albo jeszcze jedno twierdzenie autora, wypowiedziane w r. 1912: „Gdyby naród polski w przyszłej wojnie... stanął po stronie Rosji, byłby najpodlejszy z upodlonych niewolą“. (Str. 303). A jednak w swej ogromnej większości naród stanął po tej stronie, więc...

Studnicki zapewnia czytelnika, że „wszystkie ważniejsze wypadki przewidywał zawsze“. (Str. 171). Czyżby przewidział również, że głównym skutkiem całej jego działalności będzie dopomożenie do konsolidacja opinji narodu przeciwko Niemcom, i że dopiero pobicie Niemców zapewni Polsce niepodległość? Czyżby więc Studnicki był poprostu... Wallenrodem?..

STANISŁAW CYWIŃSKI

MIŁOŚĆ NA PAPIERZE

„... nie piękne listy mówią o pięknej miłości“.
Jerzy Szaniawski: „Żeglarz“

WYDANE świeżo listy Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej [1]), wprowadzają nas znowu w zawiły labirynt nietylko „dziejów“ miłości genjalnego twórcy „Nieboskiej“, lecz wogóle dziejów jego ducha. Błądząc wśród zakrętów tego labiryntu, staniemy nieraz wobec licznych zagadek, trudnych do rozstrzygnięcia; zapytywać siebie często będziemy — co, właściwie, mamy sądzić o tym duchu niezwykłym, już bowiem jeden z jego przejawów, mianowicie uczucie miłości do kobiety, budzi w nas mnóstwo zastrzeżeń, wywołuje zdziwienie — dlaczego tu, w obrębie tego uczucia, tyle rozdźwięku i niemocy, tyle zbytecznego patosu, taki brak świeżości, taka mózgowość namiętności miłosnej, — podczas gdy duch ów jawi się nam gdzieindziej jak uskrzydlona postać potężnej, niezachwianej wiary i nadziei, promienieająca światłem prawdy wiekuistej?

Szukając wyjaśnienia bodaj tej jednej sprzeczności, można jej źródła poszukiwać w przewadze wyobraźni Krasińskiego — jak wiadomo sztucznie dramatyzującej, teatralnej — nad uczuciem bezpośredniem, aktywnem, niemędrkującem, zarówno jak i w tem, co tego rodzaju wyobraźnię podniecało i rozstrajało, mianowicie w fałszywem pojmowaniu siebie samego, swego losu i przeznaczenia, w rozmiłowaniu się w tem, iż się jest we władzy złowrogiej wróżby, co mu wytykali ci, co go dobrze poznali (Danielewicz, pani Bobrowa, ta ostatnia nazywała tę władzę *„puissance à présage sinistre“*).

Mogło to wszystko mieć podstawę w organizmie fizycznym Krasińskiego, w jego odziedziczonej słabości cielesnej, z której rodziła się jego słabość psychiczna, znajdująca przedewszystkiem wyraz w jego życiu uczuciowem i moralnem. Najwymowniej — aczkolwiek z taką jednostajnością, że może to uchodzić za rodzaj prawa, regulującego jego stosunki w tej mierze — świadczą o tem dzieje licznych miłości Krasińskiego.

Kochał się on w niejednej kobiecie, właściwie jednak nie ukochał rzetelnie żadnej, nie płonął z ich powodu żywą namiętnością, mocnem, stanowczem pragnieniem zrealizowania z tą lub inną swoich snów i wyobrażeń o „absolucie serca“ — jak się wyrażał.

To, co wyznaje w listach do Reeve'a, rozważając stosunek swój z Henriettą Willan, mianowicie, że w miłości jego do niej „nie tkwił żaden cel wyraźny i dotykalny“, że miała ona być „jeno poetycznym punktem wyjścia“ dla całego jego żywota,—można śmiało rozciągnąć na wszystkie jego miłości. Każda zaczynała się mniej więcej tak samo, miała jeden i ten sam przebieg—dłuższy bądź krótszy — i kończyła się w podobny sposób.

Odwzajemnione (Henrietta, pani Bobrowa, wreszcie Delfina), czy też nieudane („ciocia“ Załuska, która odrazu poznała się na wzdychającym kuzynku) — podobnie go nastrajały, słabiej bądź silniej natchniewały, wywoływały jednostajny łańcuch przeżyć. Więc naprzód szły olśnienia i upojenia, którym towarzyszyły rozmaite, niepozbawione zręczności manewry i strategie uczuciowe; następine trwał, mniej lub więcej długi, okres rozkoszowania się procesem uczuciowym, (właśnie „poetyczny punkt wyjścia dla całego swego żywota“), do którego wsączały się powoli rozmaite fluidy miłosne oraz trucizny, jakie w duchu jego wciąż się wytwarzały: — tęsknoty księżycowe, zachwyty i uniesienia metafizyczne, szały rozpaczy

[1]) Zygmunt Krasiński „Listy do Delfiny Potockiej“ (1839 — 1843 r.) przysposobił do druku Adam Żółtowski. Poznań 1830 r. Nakładem poznańskiego Tow. przyjaciół nauk str. 581.

i gorycze niemocy, z powodu fatalizmów wszelkich, „przekleństwa“ losu, bądz zwykłych jego przeciwności, — aż wreszcie kończyło się to wszystko rejteradą, bardzo niekiedy nierycerską, jak w wypadku z panią Bobrową, zaparciem się przedmiotów miłości, którym się przysięgało wierność dozgonną, a nawet i po zgonie, wieczne „zespolenie i związanie“—„tu i na gwiazdach“ (p. listy do Delfiny str. 109).

Miał więc Krasiński zupełną słuszność, pisząc do przyjaciela: „nigdym nie skończył dobrze z żadną kobietą“ (p. list do Reeve'a d. 21 listopada 31 r.), chociaż wówczas był tylko w przedsionku swoich dziejów miłości.

Zaczynał źle każdą swoją miłość, przeżywał ją niedobrze i kończył źle, było to bowiem nieuniknionem następstwem jego natury uczuciowej, a także jego pojęcia o tem, czem ma być dla niego miłość, — następstwem tego, iż nie posiadał on daru miłości.

Proszę się zastanowić chwilę nad tem, jak się czuł w sobie Krasiński, gdy stał pod znakiem Amora — i zapytać następnie: czy to tak czują się ludzie, gdy pozostają we władzy miłości, choćby rodziła obawy oraz zwątpienia? Czy jest w tem to, co stanowi jej nieodłączny urok, czem obdarza ona nawet zwykłych zjadaczów chleba? czy jest tu powiew wiosenny, wzmożenie żywotności istoty ludzkiej; czy jest radosne poczucie wyzwalania się sił jej ducha, dotychczas nie znajdujących dla siebie ujścia? Czy jest tu, słowem, — młodość, promienność, wiara, chęć walki, dążenia naprzebój — jeśli tego wymagają okoliczności — wbrew wszystkiem, by stwierdzić swoją wolę kochania? Nie, tego wszystkiego tu nie odnajdziemy! Ponurym, grobowym, jakimś przedwiecznie starczym duchem tchną, od początku niemal do końca, wszystkie miłości Krasińskiego, i nie ożywia ich nawet ten blask uwodny, jaki na nie zlewa poeta, lubujący się w oświetleniach sztucznych i ogniach błyskawic, a także w zorzach zaświatowych.

Co sądzić o miłości, o której wszakże Krasiński nieustannie mówi, że wzniosła go na szczyt marzeń, urzeczywistniła „absolut serca“, gdy żyje się wciąż z jej powodu złowrogiem poczuciem śmierci.

...„Straszno mi i smutno nad wszelką miarę, słów niema w języku żadnym na wyrażenie tej śmierci okropnej, przez którą przeszedłem wczoraj. Niema dla mnie na ziemi ni dóbr żadnych, ni żadnej nadziei. Ty jedna jesteś mi pociechą, być przy Tobie, mówić z Tobą, o każdej chwili móc przyjść do Ciebie, choćby na to, by milczeć, jest jedynem dobrem mojem na tym świecie.

Życia już na nowo rozpoczynać nie będę, już nie jestem młodym, woskowym, zdatnym do przyjęcia nowych wrażeń — rozum mój jeszcze pojąć zdoła nowe Idee, ale serce, czem stało się, tem pozostanie — nic go już nie przerobi, — chyba go śmierć inaczej wykształci, gdy je w zimne pochwyci dłonie!... Ściskam Cię z serca całego, łez pełnego i bólu... Kocham Cię w utrapieniu, w rozpaczy, w nieszczęściu etc, etc...“ (list do Delfiny 1841 r. 5 lipca).

I tak wciąż przy każdej sposobności, gdy jest powód i gdy go niema wcale! Ciągle śmierć, mniej lub więcej „straszna“, ciągle smutek i udręczenie! a pisze to człowiek młody, rozkochany! Gdzież tu jest bodaj pocieszenie przez miłość, o czem mówi? Czemże jest to „jedyne dobro na ziemi“, jeżeli rozpacz nieustępuje z duszy, a śmierć wciąż stoi przed jej wzrokiem? Osiągnęło się przez miłość bądź jak bądź jakieś pożądane „dobro“, urzeczywistniło się „absolut“ serca, no i, pomimo to wszystko, z czego niejeden duch ludzki zrobiłby potężną dźwignię życia, czem byłby silny, dumny i odmłodzony, jeśli się niegdyś stargał w walkach bytu — jest się dalej beznadziejnym, niepocieszonym, śmiertelnie strapionym! Że tak jest, o tem świadczą nietylko te niezliczone listy do Delfiny, lecz i te, które pisze Krasiński z powodu stosunku z p Bobrową, a nawet z powodu mniej rozdzierającej jego duszę „idylli“ z Henriettą.

A jeśli tak jest — to dlaczego? Dlatego, że to, co on nazywa „dobrem“, nie jest prawdziwie tem dla niego, a to, co mieni „absolutem serca“— nie jest absolutem, bowiem natura jego duchowa nie posiada daru miłości, tego, co siły zaprzeczne bytu przekształca za jej sprawą—w potęgi dobroczynne, twórcze. Wskutek tego, osiągnięte „dobro“ jest tem dla niego, czem jest dla wędrowca skarb odnaleziony na pustyni: nie budzi w nim nadziei, nie pociesza — raczej trapi wciąż widmem śmierci.

Jakże inaczej odczuwają „dobro“ miłości ci, co posiadają w istocie dar osiągania jej absolutu. Przytaczam tu jeden z bardziej głośnych przykładów. Oto jak pisze Ryszard Wagner, którego los ścigał bezwzględniej, niż twórcę „Irydjona“ — do swego „absolutu“ serca, do M. Wesendonk, i to po tragicznem rozłączeniu się z nią: „Przekleństwo żądzy próżnej zginęło... Straciłem wszelką gorycz i mogłem odtąd błądzić, cierpieć, być udręczonym, nigdy jednak nie traciłem promiennej świadomości, że miłość twoja była mojem najwyższem dobrem i że bez niego istnienie moje byłoby sprzecznością“. W innem miejscu, uniesiony poczuciem wielkiej miłości, urzeczywistnionej w ich stosunku, takie czyni wyznanie: „Nie będę poszukiwał innego schronienia, przeciwnie, czuję się wzmocnionym w głębi siebie samego świadomością tego schronienia wiecznego, jakie pozyskałem w sercu twojem, które mnie strzeże i zasłania przed światem całym. Z głębi tego sanktuarjum mogę przyglądać się światu z uśmiechem przyjaznym i pełnym litości... Miłość twoja była dla mnie odkupieniem“. (Pisałem o tem przed laty z powodu książki Edwarda Schuré'go p. t. „*Femmes inspiratrices et poëtes annonciateurs*“, cytuję więc z tego artykułu).

Oto jest dźwięczny głos miłości nieurojonej oraz niezachwiane poczucie istotnego dobra, którem ludzi obdarza! Poznaje się ono po tem, że kładzie kres rozterkom ducha, że daje jednostce ludzkiej pewność i swobodę wewnętrzną, niweczy poczucie klątwy bytu i przekleństwa losów.

Tego wszystkiego nie osiągnął Krasiński przez swoją miłość, zaprzecznych sił swego ducha nie przezwyciężył za jej sprawą, owszem w ich sieciach plątał się i szarpał tem beznadziejniej, doznając tem większej niemocy.

Wprawdzie nazywa Krasiński panią Delfinę raz „absolutum“ głębi serca swego, znów inny „dobrem“, którego nikt mu nie odejmie (List 3-go Decembra 1841 r.); powtarza to niemal w każdym liście, upewniając ciągle o swej niezłomnej wierze, iż w jej sercu znalazł schronienie wieczne („gdyby wszystko mnie odbiegło, to jeszcze w Twojem sercu czeka na mnie duszy mojej dom“. List 16 marca 1842 r.) — jakże jednak mamy temu ufać, jak wierzyć w dobroczynność tej miłości, kiedy mu z jej dobrem jest gorzej jeszcze, niż było bez niego, kiedy gnębi go poczucie zawieszonego nad

nim przekleństwa, a sił ducha mu nie przybywa i wciąż stwierdza rozpacznie: „niemoc to imię moje“ (L. 8-go Augusta 1841 r.).

Zwierza się z tego powodu przed ukochaną: ...„w tym stanie zupełnego rozwiązania wszystkich potęg moich, tęskne przywiązanie do Ciebie jedno ocalało, — jedno żyje we mnie, kiedy wszystko reszta zasnęła granitowym letargiem. Wszystkich marzeń mi brak, prócz marzeń o Tobie“. (List 8-go Augusta 1841 r,).

Ocalało przywiązanie, pozostało marzenie, a pomimo to czuje się tęskny kochanek „kłodą z drzewa tlejącą próchnem“ i wyznaje, że żadnej żądzy w nim niema, że wyzuł się z natchnienia i t. p.

„Mieszczanin z Ciechanowa dzielniejby działał, dźwięczniej śpiewał odemnie“ (4-go Augusta 1841 r.)—pisze jeszcze jakby z obrzydzeniem siebie samego.

A zatem — nie zaznacza się i ta miłość, rzekomo najpotężniejsza i najabsolutniejsza w wyobrażeniu Krasińskiego, niczem dodatniem w jego życiu, nie zaznacza się ani dzielnością czynu, ani wielkością natchnienia.

Daje znać o sobie przedewszystkiam na papierze, czerni bez wytchnienia tysiączne jego karty, spalając uczucia swoje w fajerwerkach retorycznych, gasząc żądze w powodzi słownej.

A jakaż tego wartość, jakie piękno?

Pisze te listy wielki poeta, zachwycony tem wyobrażeniem, jakie wytworzył sobie o kobiecie ukochanej, przejęty niezwykłością miłości, jaką dla niej żywi.

Nie dziw więc, że na wyrażenie tego wszystkiego bierze wciąż ton najgórniejszy, klęczy bowiem ciągle u stóp swego bóstwa i z zachwytu nie wychodzi. Bezgranicznemu uwielbieniu odpowiada takaż retoryka, niesyta w wypowiadaniu zachwytu, wysilająca się stale na pełniejszy i szczytniejszy wyraz uczuć od przed chwilą wygłoszonego.

Jest w tem niemało przesady, jest i monotonja, będąca wynikiem powtarzania wciąż jednego i tego samego uczucia w formie podobnej. Ale jest także nieokiełznany polot wyobraźni, niewyczerpanej w wyobrażaniu istoty ubóstwianej jako ósmego cudu świata, jako zjawiska, pod względem duchowym oraz zewnętrznym, najpiękniejszego ze spotkanych na ziemi; jest — ogromna poezja uczucia, niestety! w znacznej mierze żałobnego, nieukojonego, pokonanego od złego losu. Spotykają się tu także prawdziwie świeże, niezwykłe w wyrazie, wybuchy namiętności, (p. np. List 19-go stycznia 1840 r. „W moje objęcia wrzuć się jak ze skały wysokiej w morze, — niech uczuję spadającą Ciebie w ramiona moje, niech Twoje usta uderzą mi w usta i zostaną do nich przykute na wieki“...), częściej jednak sypie się na te karty sam popiół żądz, zwęglonych w ogniu duszy zbolałej, znękanej świadomością niedoli własnej, nieszczęściem, tragedją przeznaczenia.

Osobliwy dar dramatyzowania tego nieszczęścia, wyolbrzymienia go, nadaje wynurzeniom Krasińskiego ton nieustannej skargi oraz żalu, ton płaczu i łkania. Im więcej odczuwa swoją niedolę, trawiony marzeniami rozkoszy przerwanych, bądź niezaznanych, tem bardziej rozżala się nad sobą, tem głośniej łka i płacze, a im więcej łez wyleje, tem bardziej lubuje się w ich wylewaniu, tem szerzej o nich pisze do ukochanej.

I staje się to przyzwyczajeniem, manierą nużącą, a często przechodzi w retorykę, wprawdzie zawsze wymowną, ale zbyt ozdobną, jakby przeznaczoną do głośnego kiedyś czytania w szerszem kole. A przecież wie o tem dobrze, sam bowiem mówi tu gdzieś doskonale, że to, co dla dwojga wtajemniczonych jest „świętem“ — dla większej ilości osób staje się śmiesznem! Zapomina jednak o tem, unoszony falą żalu, załkany i wstrząsany spazmem płaczu. I jest coś niemęskiego w tem wszystkiem, coś starczego — albo dziecinnego — pomimo buntów duszy i gromów, ciskanych z wysokości jej lotów podniebnych.

Te listy zrodziły się ze słabości, sprawiają też wrażenie słabości, chociaż mówią ciągle o sile uczuć przeżywanych przez ich autora. Słabość ta budzi współczucie, niemniej jednak drażni i gniewa, jak gniewała nieraz przyjaciół Krasińskiego, zdawali bowiem sobie sprawę, że nietylko wykoleja go moralnie, lecz odbiera mu nieraz poczucie godności własnej.

„Bóg widzi — pisze do Delfiny 1843 r. 26-go czerwca — że mogłem być i dzielny i szczęśliwy zarazem, — a czuję się głęboko unieszczęśliwiony i niedzielny! Bo moją potęgą jest miłość, a miłość moja to Ty, — Ty wraz z Polską, — a gdy Ciebie nie mam, i Polska mnie mieć nie będzie — i Polska ze mnie nic mieć nie może. Bom słaby, jak wszelka istota, której kleszczami serce wydarto z piersi“!!!

Oto do jakiego upadku ducha doszedł człowiek, w którego sferze uczuć i myśli Polska zawsze zajmowała pierwsze miejsce!

A może on, w tym wypadku, tak dobrze zagrał przed samym sobą swoją tragedję miłości, że inaczej nie wypadało się wyrazić, gdyż wrażenie nieszczęśliwości własnej byłoby mniejsze? Być może, w tych „Listach“ bowiem Krasiński w tej roli często występuje.

A jakiż był koniec tej tragedji? — doprawdy bardzo opłakany, taki, że z tej potęgi jedynej, którą się szczycił, nic nazawsze w duszy jego, w stanie rdzą czasu nietkniętym, nie przechowało się, że jej w końcu sam zaprzeczył, poprostu — wyparł się.

Wiadomo, że po ożenieniu się z Elizą Branicką, Krasiński powtarzał stale, a i żonie długo dawał to uczuć, iż serce jego spoczęło w grobie, że jest „umarłe wszystkim, tylko nie dla Ciebie“, t. j. dla p. Delfiny (p. wiersz do niej z 1843 r.). Trwało tak dość długo, aż zaczęło zmartwychwstawać i poczęło żyć, ale już nie dla tej, której przez szereg lat przysięgał, że jest jego ostatnią miłością, lecz dla własnej żony:

„W duszy mi kwiaty wciąż ku Tobie rosną
Śród zim boleści, boś Ty moją wiosną.
Boś życia mego ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem“!!

(Wiersz do Elizy, 19 listopada 1856 r.).

Bardzo to pięknie, że wreszcie i żona stała się dla niego słońcem, nie pięknie jednak, iż jemu tylko przyznał byt rzeczywisty.

„Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara“...

A cóż się stało z Delfiną, co z „absolutem“ głębi serca jego? Dziwny absolut, który przekształcił się w marę, zmienił się w sen, nicość. Bywa i tak w życiu, tam jednak, gdzie niem rządzi słabość. Te piękne listy Krasińskiego do Delfiny mówią o nie pięknej, słabej, w gruncie rzeczy, jego miłości.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

CHWILA BIEŻĄCA JANA KASPROWICZA

URYWKI[1])

1.

...Zda mi się,
Że nagle z tego kąta wychylił się jakiś
Złośliwy Szatan-Figlarz i, aby urągać
Wieczności i jej źródłom, stanął za mem krzesłem,
Odchylił nagle kołnierz mojego surduta
I wielką wesz mi wsadził za koszulę. Ramię
Chcę podnieść, by ją w palce pochwycić i ubić —
Daremnie. Szatan-Drwiciel obezwładnił członki,
Chcę otrzeć się o ścianę i zgnieść ją wysiłkiem
Tych pleców, co niejedno udźwignęły w życiu
I ciężar niewygodny strąciły niejeden —
Napróżno. Bolesnego doznałem wrażenia,
Że nie mam oparcia już, że jestem zawieszon
W przestrzeni... Cóż to będzie?! Co będzie?! Co będzie?!
(s. 60)

2.

— — — — — — — — — — — —
Niech każdy o tem pamięta,
Że jeszcze krępują nas pęta,
Niecałkiem spadły okowy.
Jeszcze się palą nasze sioła,
Rabunki kwitną i rzezie
O pomstę zniszczenie wciąż woła
— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —
Czai się wróg, acz zgnębiony
Prawicą Sprawiedliwości:
Nie całkiem obcięto mu szpony,
By można — niechając obrony —
W spokoju wyciągnąć kości.

Cień jeszcze jest między nami,
Który nam mózgi przesłania,
Że snać nie wiemy już sami,
Jakiemi oderwać siłami
Moc życia od dni konania. (s. 9)

3.

Bóg z tobą, polski żołnierzu,
Bóg z twoją szlachetną bronią!
Któż błysnął ci stalą przed oczy,
Któż kazał sięgać ci po nią?

Nie przymus, co piętno niewoli
Na duszy ludzkiej wyciska,
Jeno ten dzień powstający,
Jeno te świtu ogniska.

Idziesz z piosenką na ustach,
Weselne czekają cię gody,
Z twą Polską zawierasz dziś śluby,
Ty polski żołnierzu młody.

W walce, co daje nam życie,
Nie splamisz swego oręża;
Brud czasem sukces odniesie,
Lecz tylko czystość zwycięża. (s. 12)

4.

Ano! więc mamy silny rząd —
Takie nas wieści dochodzą
Z onej Warszawy, gdzie się wciąż
Cudowne grzyby rodzą.

Dosyć że mamy silny rząd —
Pokłon ci silny rządzie —
Może się wreszcie Polski gmach
W swych fundamentach osiądzie.

Kał, nieporządek, śmieci stek
Najlepszą budowę zburzy,
Jeżeli tęgich niema w niej
I przesumiennych stróży.

Podnosi nogę lada pies
Zostawia znak u węgła,
Widząc, że niema żadnej z władz,
Coby go miotłą dosięgła.

Zachodzi rabuś w taki gmach
Otwarcie, nie pokryjomu
I tak się szasta, jakby on
Był gospodarzem w tym domu.

Zjawi się jakiś śmiałek w czas,
Szlachetny cywil czy żołnierz —
Biada mu, jeśli śmiałość miał
Pochwycić łotra za kołnierz...

Przykro spoglądać — chyba człek
Całkiem już z wstydu się spali —
Jak sobie ktoś zatyka nos
I obojętnie mknie dalej.

A czyż nie mniejszy to jest srom —
Hańb takich chyba niewiele —
Że idąc mimo naszych ścian,
Litują się przyjaciele.

Zaś z cicha szydzi czujny wróg
I chytrą żywi nadzieję,
Że na ratunek przyjdzie on
I potem w głos się zaśmieje. (s. 38)

5.

Idź! Czuwaj! Do czynu ciągłego
Młodzieńcze wyciągaj ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do ciebie ma prawo li ona!

Idź, czuwaj! I zawsze miej wiarę,
Cokolwiekby losy zrządziły:
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli jej starczy twej siły.

Idź, czuwaj! Kochając swe serce,
Prawdy w niem buduj świątynię:
Żyć warto, jeśli twe serce
Ofiarnie dla Polski płynie.

Idź, czuwaj! Otwarte miej oczy,
Byś dostrzegł w sam czas, z jakiej strony
I jaki się wróg ku nam skrada,
Chęcią niszczenia wiedziony!

Idź, czuwaj! Bądź czujny! Codziennie
Ucho przykładaj do ziemi,
Byś słyszał jej szept najmniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony swojemi.

Idź, czuwaj! Patrz! Słuchaj, byś wiedział,
Nim z swoją rozminiesz się dobą,
Gdzie pójść masz z sercem i duszą,
Z tem wszystkiem, co tylko jest — tobą. (s. 13).

JAN KASPROWICZ

[1]) Jan Kasprowicz „Dzieła wszystkie", t. XVII.

NA WIDOWNI

Pomnik Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. — Hołd arcyczłowiekowi. — Wszystkim aniołowie w duszy śpiewają. — Poeta jest dobroczyńcą, że słyszy. — Temu, który pisał dzieło: „O niedoli ludzkiej". — Droga ze stajenki na Golgotę.

W DNIU 7 września odbędzie się w Inowrocławiu uroczyste odsłonięcie pomnika Jana Kasprowicza. W piątą rocznicę śmierci, siedmdziesiątą urodzin poety Kujawy zaznaczają pomnikiem swoją dumę i chlubę, że wydały na świat Kasprowicza. Czy to święto „regjonalne"? Nie. W dniu tym będzie w Inowrocławiu cała Polska. Kasprowicz jest chlubą rodziny, Szymborza, Inowrocławia, Kujaw, Wielkopolski dlatego, że jest chlubą całej Polski: uznano go w kraju i śród obcych za największego poetę polskiego czasów nowych.

Nad Gopło wraca Kasprowicz jako legenda o wielkim wysiłku artystycznym, ale czyż społeczeństwo, wznoszące poecie pomnik, jest estetą i krytykiem literackim? Powoduje się ono niezawodnym, wyprzedzającym krytykę zmysłem wielkości dobroczynnej; bierze na piedestał tych, w których wyczuwa pełnię człowieczeństwa. To jest zasadniczy pierwiastek społeczny w kulcie poetów: wzajemna miłość, ściślej mówiąc — wzajemna potrzeba. Poeta jest potrzebą życia, bo życiu potrzebna świadomość. Są sprawy dziejące się w głębi człowieka, które uświadomić i pokazać może tylko poeta. Tragikomiczne dzieje Marchołta, zanim się stały treścią arcydzieła literackiego, odbywały się w duszy pospólnej środowiska, które zrodziło poetę. Ci, co stawiają jemu pomnik, gdy byli na jego „popielinach" w Szymborzu, wróżyli mu, że „będzie pełen wielkiej chwały", że „będzie w świecie bardzo głośny", nie wiedząc, że tę chwałę i rozgłos przyniesie mu to, iż wypowie ich własną duszę.

W duszy człowieka odbywa się nieuświadomione, nienazwane misterjum, czekające na wypowiedzenie się; życie powszechne trwa w ciągłem oczekiwaniu, że przyjdzie człowiek, który je wyzwoli z męki. Każde więc narodziny wita w nadziei, że „ten się urodzi, co nas wszystkich oswobodzi".

Wiara ludu, nieuświadomionego poety, uważa za pewnik:

Że gdy człowiek się rodzi nowy,
aniołowie święci
pieśni mu śpiewają
i na harfach grają,
pod sam próg przychodzą,
gdzie się ludzie rodzą.

W przepięknem misterjum narodzin Marchołta poeta daje wyraz tej wierze w człowieka:

Chrystus Pan się rodził człekiem
i dla człeka!

On był król! Na wielkie męki się rodził. Na Zbawienie. I na ból. Szatan go po górach wodził, w jego duszę godził. Na radości nie przychodzim w gości na tę biedną ziemię... Człek się musi wciąż oganiać: ciągłe bitwy z złem".

To samo każdy człowiek: każdego czeka na małą czy wielką skalę dramat nieosiągniętej wielkości w walce ze złem, każdy ma miejsce na skrzydła, każdy jest z pogranicza, gdzie ciało zespala się z duchem w obliczu prometejskiego bohaterstwa i świętości.

Nie gdzieindziej, tylko w duszy ludzkiej aniołowie tak grają na cześć rodzącego się życia. Tak właśnie gra zmysł boskości — i ten zmysł czyni społeczeństwo wrażliwem na wielką poezję, będącą zarazem emanacją człowieczeństwa. Nie trzeba uczonych rozbiorów artyzmu w tym wypadku: budowie pomnika takiego jak ten, przygrywają aniołowie.

Ziemia kujawska była w Szymborzu przy narodzinach Kasprowicza. W duszach ludzi, którzy stali nad jego kolebką, choć nie wiedzieli o tem, grały chóry anielskie melodję miłości życia. Stracili go potem z oczu, ale ci, co przez wczytywanie się w jego poezję szli za nim aż do zenitu, poświadczyć mogą, że siłę swych skrzydeł zawdzięczał rasie, tej krwi arcyludzkiej ludu polskiego, zawierającej pierwiastki anielskie, zawsze gotowe w człowieku wyjątkowym zapanować.

Czem się różni poeta od tych, co mu z serca pomnik stawiają? Oto tem, że im aniołowie w duszy grają, a oni o tem nie wiedzą, poetą zaś jest ten, który w to misterjum się wtajemniczył i widzi wskróś, jakie elementy w człowieku grają, widzi, jak odbywa się w nim walka anioła z szatanem i o tem ludziom opowiada:

Aniołowie święci
pieśni mu śpiewają...
Ino trza mieć oczy,
by ich ujrzeć w ich przeźroczy,
ino trza mieć uszy,
by ich w rajskiej słyszeć głuszy.

Poeta ma właśnie taki wzrok i słuch. I za to mu pomnik stawiamy. On nietylko widzi i słyszy duszę ludzką, on powtarza ją w sobie w całej rozciągłości i w całem napięciu walki między żywiołami. On bierze na się całość człowieczej doli, a świadomość jej jest męką. Gdy dusza ogółu śpi, on odgrywa w sobie cały jej dramat, a ta praca duchowa jest już nietylko widzeniem artystycznem, ale uczestnictwem moralnem z chęcią zbawiania. Kasprowicz był z tych twórców genjalnych, w którym postać arcymistrza kryła się w czemś, co jest większe — w arcyczłowieku... Niechaj oddane będzie, co jest sztuką, mistrzowi; my, ogół, stawiamy pomnik człowiekowi.

Płacimy miłością za miłość temu, którego dzieło twórcze, gdyby w jedno je zebrać, nosiłoby jeden tytuł: „O NIEDOLI LUDZKIEJ".

Ludzie znają — niedolę, ale jej nie wiedzą tą świadomością, która mękę rodzi. Zaledwie sylabizują ten tytuł i lęk ich ogarnia. A cóż dopiero księgę taką przeżyć.

Tutaj, w obliczu pomnika poety, który w walce o dolę ludzką życie strawił, nabiera specjalnego znaczenia sonet, pod koniec życia napisany:

Przy narodzinach twych boże anioły—
Ongi przy świętym kolendnicy żłobie—
Te same pieśni śpiewały i tobie
Na znak, że człowiek, tak biedny i goły

I w taki jarmark rzucony, — sto'oły
Płód, czy też stajni, ku świata ozdobie
Boże przynosi bogactwa, w osobie
Swojej syn boży. Boć z dumnemi czoły

Pomnijmy o tem: rodzicem człowieka
Wszelkiego Bóg jest i On też wyciska
Na jego skroni piętno zbawcy... Zbliska

Widzian—niechlujnyś i prostak, co czeka,
By tylko bryzgać kałużą, a zdali
Święta Golgota na ciebie się wali...

Ten właśnie tytuł chwały przenosimy z Marchołta na Kasprowicza, w ową bowiem postać legendarną swój żywot zaklął. Tragikomiczne misterjum marchołtowego żywota — to pomnik literacki Jana Kasprowicza.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

OŚWIATA I KULTURA NA KRESACH

ZNAKOMITE artykuły prof. Stanisława Grabskiego, drukowane niedawno w „Lwowskim Kurjerze Porannym" oświetliły tak jaskrawo fatalne zaniedbania naszej polityki na kresach wschodnich i groźne konsekwencje, do których wiodą owe zaniedbania, że staną się one zapewne przedmiotem obszernej dyskusji w prasie. Ze swej strony proszę „Myśl Narodową" o gościnę dla paru refleksyj, które nasunęły mi się w toku pracy oświatowej na kresach w ciągu ostatniego czterolecia.

Wychodzę z założenia, że istnieje pewien program polityki kresowej, który chyba jest wspólny wszystkim stronnictwom polskim. Programem tym jest, jak mi się zdaje — możliwie potężne rozwijanie kultury polskiej, tak by ona stała się tym czynnikiem, który wiąże obce nam żywioły z państwowością polską lub przynajmniej uzasadnia wobec nich rację bytu panowania polskiego na kresach. Zdawałoby się, że pod tym względem nie powinnoby być dwóch zdań w Polsce i że wszelkie wysiłki Państwa i społeczeństwa zmierzać będą do szczególnie usilnego podnoszenia poziomu kultury polskiej. A poziom kultury — to przedewszystkiem poziom oświaty i szkolnictwa polskiego.

Otóż łatwo stwierdzić można, że to, co się dzieje u nas obecnie na kresach pod względem oświaty, jest jaskrawem potwierdzeniem ogólnej bezprogramowości rządu i jego inercji. Bezprogramowość szczególnie dotkliwie występuje w traktowaniu różnych żywiołów, zamieszkujących nasze kresy. Przypomnijmy sobie tylko te zmiany, które następowały w rządzie w stosunku np. do Białorusinów: naprzód, w r. 1926 patrzenie przez palce na rozwój agitacji separatystycznej, popieranie „hurtków" przez wielu działaczy rządowych i nawet przez organy administracyjne, potem nagłe zlikwidowanie „hurtków" i t. zw. „polityka silnej ręki", wreszcie, ostatnio, ponowny flirt z wypuszczonymi z więzienia posłami białoruskimi, bursa państwowa przy prywatnem gimnazjum białoruskiem w Nowogródku i — seminarjum nauczycielskie białoruskie!

Podobne fazy przechodził też stosunek do Rusinów, z tą różnicą, że po wzajemnych czułościach przy wyborach samorządowych w Małopolsce w r. 1927, — okazało się teraz dowodnie, że w Małopolsce niema poprostu stronnictwa ruskiego, na które rząd mógłby liczyć w swej polityce. Nagwałt próbuje się teraz jakiegoś porozumienia z duchowieństwem ruskiem. W stosunku do społeczeństwa ruskiego w Małopolsce jesteśmy w okresie wyraźnego braku decyzji rządu, w stosunku do „Unda" zaś — w okresie... spokojnego przyglądania się łunom nad folwarkami polskiemi. Natomiast modne jest teraz robienie wielkiej „państwowej" polityki na Wołyniu. Zaczęło się to od sukcesów wyborczych i od kandydatów Rusinów na wołyńskich listach rządowych do sejmu, a skończyło się na ostatnich wyborach uzupełniających do sejmu, przy których ludność polska na Wołyniu straciła wszystkie mandaty na rzecz komunistów i radykałów ruskich.

Najkomiczniejsza jest jednak ewolucja w stosunku do żydów. W ciągu paru ostatnich lat rząd od szczerej przyjaźni z ortodoksami przeszedł z kolei do uwielbiania — syjonistów! „Oni nas rozumieją najlepiej, bo kochając swoją Palestynę wiedzą, co to znaczy kochać Polskę" — tak mniej więcej rozumuje, jak wiadomo, p. Hołówko. Komizm sytuacji polega na tem, że po czterech latach bezustannego wymyślania na nacjonalizm ze strony wszystkich „wielkich" obozu rządowego, nie wyłączając ministra oświaty, nareszcie znaleziono w Polsce rzetelnych i sprawiedliwych nacjonalistów. Są nimi nacjonaliści żydowscy! Więc w Polsce nie wolno jest być nacjonalistą polskim, bo to jest zasadniczo antypaństwowe, ale wolno jest być — żydowskim, co więcej, ten właśnie nacjonalizm jest państwowo-twórczym.

Piszę o zygzakach linji ogólnej polityki rządu na kresach, zamiast pisać o oświacie i kulturze; ale właśnie te zygzaki polityczne zrodziły bezplanowość w dziedzinie szkolnictwa. Przypomnijmy sobie tylko, jak to w r. 1926 minister Sujkowski polecał Rusinom wnosić podania o szkoły z pominięciem władz szkolnych II instancji bezpośrednio do Ministerstwa Oświaty, poczem okazało się, że tak jednak nie można! Warto też przypomnieć, jak to w tymże czasie wiceminister Gayczak w czasie oficjalnej audjencji pono gruchał z żydami — w żargonie, a później dementował. Albo ta żarliwa sympatja do Litwinów, po której nastąpiło znienacka zamknięcie kilkudziesięciu litewskich szkół powszechnych. Albo ten zmieniający się ustawicznie stosunek do prywatnego gimnazjum litewskiego w Święcianach! Albo te zygzaki w stosunku do szkolnictwa żydowskiego, zależnie od zbliżających się, czy oddalających się wyborów. Wszystko to są fakty, z których wynika niezbicie, że rząd jako całość nie posiada jednolitej polityki oświatowej w stosunku do kresów, lecz zmienia ją ustawicznie, zależnie od chwilowych konjunktur wyborczych lub poprostu zależnie od zmian personalnych na stanowisku ministra oświaty albo nawet — naczelnika wydziału bezpieczeństwa w Min. Spraw Wewnętrznych.

Co gorsza, nawet w chwili, gdy linja polityki oświatowej na jakiś krótki czas jest, zdawałoby się, ustalona w rządzie centralnym, nie przestaje ona być systemem zygzaków „w terenie", że użyjemy tu wojskowo-sanacyjnego wyrażenia.

Pochodzi to stąd, że politykę we władzach II instancji wykonywają coraz to nowi ludzie, najczęściej wojskowi, z których każdy, ufny przedewszystkiem w swe „plecy" w Belwederze, improwizuje ją na swój sposób, za każdym razem zaczynając od początku i niewiele się oglądając na, skąpe zresztą, instrukcje z centrali oraz na doświadczenia poprzedników. Przedewszystkiem oczywiście cały kapitał doświadczenia, zebrany z czasu przed zamachem majowym zasługuje, zdaniem tych lokalnych genjuszów, *a priori* na odrzucenie, narówni z „ludźmi przedmajowymi". Na to miejsce przychodzi improwizacja, coraz to nowa improwizacja, w miarę jak zmieniają się wojewodowie, naczelnicy wydziałów bezpieczeństwa, kuratorowie okręgów szkolnych, starostowie i inspektorowie szkolni.

Najgorsi oczywiście są tacy naczelniny władz II instancji, którzy mają swój własny, oryginalny plan „rozwiązania" sprawy narodowościowej na Kresech i którzy plan ten z gorliwością godną lepszej sprawy wykonywają, domagając się od władz centralnych spokojnego wyczekiwania, co z tego wyniknie. Typowym okazem takiego eksperymentatora na stolcu wojewodzińskim jest obecny

wojewoda nowogrodzki Beczkowicz, którego oryginalne „pociągnięcia“ w sprawie białoruskiej całe państwo, jak się zdaje, długo będzie pamiętało. Drugim takim typem, jakkolwiek może nieco rozsądniejszym i mniej wdzierającym się w zakres spraw oświatowych jest wojewoda wołyński, p. Józefski, który zresztą działa ręka w rękę z kuratorem okręgu szkolnego. Do oryginalnych pomysłów szkolnych wołyńskich należy np. rozpoczynanie nauki czytania w szkołach polskich od elementarza ruskiego oraz masowy import nauczycieli rusinów ze Wschodniej Galicji.

Jak wygląda w tych warunkach wykonanie pozytywnej strony pracy, a mianowicie podnoszenie kultury polskiej przez szkolnictwo i oświatę? Na podstawie bezstronnej kilkuletniej obserwacji dojść tu można do bardzo smutnych wyników. Nie tylko bezplanowość przeszkadza w tej pracy, ale i inne jeszcze charakterystyczne dla naszych czasów okoliczności.

Przedewszystkiem nigdzie nie było tylu ryzykownych zmian personalnych, jak właśnie na kresach. Działo się to pod hasłem: „Precz z nacjonalizmem polskim w administracji na kresach“, a pociągnęło za sobą bardzo dotkliwe załamanie się ciągłości pracy oświatowej. Po pewnym czasie oczywiście i ci nowi ludzie, po licznych eksperymentach, tu i ówdzie „nauczyli się kresów“, ale stało się to dopiero wtedy, gdy w kraju zapanował dotkliwy kryzys ekonomiczny, a co za tem idzie — nastała konieczność redukcji wydatków, niezbędnych dla normalnego rozwoju szkolnictwa. Kryzys ten dotknął np. budownictwo szkolne, które obecnie znajduje się w stanie rozpaczliwym oraz sprawę koniecznego pomnożenia sił nauczycielskich, w miarę przyrostu dzieci szkolnych. Obecnie coraz częściej na wschodzie jesteśmy świadkami, że procent liczby dzieci, nie uczęszczających do szkół z braku lokali lub z braku etatów nauczycielskich, rośnie zamiast się zmniejszać z roku na rok, tak że w całym szeregu powiatów pod względem wykonania obowiązku szkolnego zaczynamy się cofać! Szkolnictwo średnie coraz dotkliwiej cierpi na brak nauczycieli, w związku z trudnemi warunkami egzystencji na kresach, a szkolnictwo zawodowe wobec trudności finansowych nie może podołać przyjętym na siebie zobowiązaniom.

Osobny rozdział — to t. zw. „oświata pozaszkolna“. Sprawę tę niejednokrotnie już poruszała prasa narodowa i niewiele tu można już dodać. Cechą obecnej sanacyjnej oświaty pozaszkolnej jest przedewszystkiem jej etatyzacja. Wynikła ona nietylko z typowego dla „sanacji“ etatyzmu na wszelkich polach, ale także z głębokiej nieufności „sanacji“ do istniejących starych towarzystw oświatowych, no i *last not least* z rachub propagandowo-wyborczych, które w rozumieniu „sanacji“ łączą się ściśle z całokształtem prac oświatowych pozaszkolnych. Tem tłumaczą się zresztą obfite fundusze, które ustawicznie płyną na oświatę pozaszkolną w dobie, gdy niema za co budować szkół i mianować nowych nauczycieli.

Jak fatalnie ten etatyzm oświatowy zaciążył na społeczeństwie kresowem, które i tak już od lat czterech ustawicznie tylko ogląda się na rząd i coraz bardziej zatraca zdolność do samodzielnego działania, tego nie warto chyba na tem miejscu udowodniać. Warto natomiast zastanowić się nad rolą, jaką odgrywają liczni urzędowi instruktorowie oświatowi po powiatach. Bardzo często nie ograniczają się oni do propagandy tak zw. „ideologji Marszałka” i do roboty przedwyborczej w interesie tego czy owego posła z BB., czy z BBS, ale zajmują się z urzędu szerzeniem pogardy dla izb ustawodawczych oraz arogancką krytyką obecnego ustroju; bardzo często także jawnie przeciwdziałają istniejącym towarzystwom oświatowym polskim, charakteryzując je jako przestarzałe, klerykalne, reakcyjne i t. d. W ten sposób ci ludzie, którzy z urzędu powinniby być organizatorami całej polskiej oświaty pozaszkolnej, stają się rozbijaczami starych, zasłużonych instytucyj oświatowych polskich. Nie instruktorami, lecz destruktorami oświatowymi należałoby ich nazywać.

Tych parę uwag o stanie naszej oświaty na kresach niechaj będzie przyczynkiem do doniosłej dyskusji, wszczętej artykułem prof. Grabskiego. Nie poruszam tu sprawy, co należy robić, żeby było lepiej, nie tylko dlatego, że to przekroczyłoby ramy niniejszego artykułu, ale dlatego także, że nie wierzę w radykalne polepszenie stanu rzeczy, póki kresy nasze będą terenem dzikich eksperymentów, dokonywanych przez różnych improwizatorów sanacyjnych. Narazie jednak wszystko co skupia żywioł polski, co organizuje nasze rozproszone siły, co podnosi jakość oświaty i kultury polskiej na kresach, to wszystko powinno być przez obóz narodowy konsekwentnie na kresach popierane. Że dziać się to będzie często w ogniu walki z aktualną politykę sanacyjną — tem lepiej dla sił żywotnych polskości.

OCCIDENTALIS

NAUKA I LITERATURA

KRAKÓW SKONFEDEROWANY

WYDANY niedawno tom Bibljoteki Krakowskiej, pióra młodej dziejopisarki Dr. Jadwigi Krasickiej, poświęcony roli Krakowa i województwa krakowskiego wobec Konfederacji Barskiej, zmierza do czegoś więcej, niż do przedstawienia wypadków, które rozegrały się w tym zakącie Rzplitej bezpośrednio przed pierwszym rozbiorem. Historja u szczytu swych ambicyj poznawczych pragnie poznać nie to, co się zdarzyło w pewnej miejscowości w pewnym roku, ale to, co ujawniło się wówczas, choć istniało przedtem i potem i istnieje może częściowo do dziś dnia. Tem czemś, poznawalnem zzewnątrz *sub specie temporis et loci* jest rozwijający się nie z roku na rok, lecz z epoki na epokę charakter społeczny danego środowiska: charakter narodowy, dzielnicowy lub poprostu lokalny.

W epoce podziałów, kiedy wszystkie wysiłki rządzonych nami potęg dążyły do rozbicia organicznego związku między zaborami, zasadą historjografji było wykazywanie jedności dziejowej narodu polskiego; studja nad partykularyzmem stanowiły niezbędny wyjątek. Dzisiaj, gdy zagadnieniem życia jest uzgodnienie centralizmu, wolnym rozrostem energij miejscowych, nauka ma prawo i obowiązek pytać, co dany człon Rzplitej zaczerpnął z całości państwowo-narodowej i co jej dał od siebie. Można się spierać, gdzie i jaki warto popierać w życiu kulturalnem regjonalizm, ale w nauce i mianowicie historycznej, regjonalizm zwyciężył niezaprzecznie. Dzielnice chcą znać swą przeszłość, i badają ją tem spokojniej, z tem mniejszą obawą o dobro całości, im wyraźniej widzą, że przecież żadna z nich nie odpowiada w obecnych granicach ani temu, co wykrajały nożyce zaborców, ani nawet temu, co przed wiekami zlepiło się w Najjaśniejszą Rzplitą. Dzisiejsze województwo krakowskie to nie jest dawne „Krakowskie“, ani Pomorskie nie odpowiada Pomorzu, ani Wileńszczyzna — dawnemu województwu wileń-

skiemu. Ciekawość historyczna bierze za punkt wyjścia dzisiejszy podział administracyjny, stwierdza jego młodość i sztuczność, i przystępuje do budowy na dawnych fundamentach czy cokołach.

Ruch regjonalistyczny w dziejopisarstwie jest bujny i pocieszający. Powstają dzieła zbiorowe, jak piękny tom o „Gdańsku“, wydany pod redakcją prof. St. Kutrzeby, jak monografja Wielkopolski, stworzona wysiłkiem dziesięciu autorów, jak podobna monografja Pomorza i Ziemi Chełmińskiej; powstaje wielki tom o średniowiecznym Śląsku. Zawiązują się towarzystwa miłośników przeszłości i zabytków różnych okolic, to znowuż w ramach Polskiego Towarzystwa Historycznego tworzą się miejscowe oddziały z miejscowemi aspiracjami. Za przykładem Krakowa pytają o swoich antenatów Lwów, Warszawa, Poznań, Brześć i Lublin, i Łódź, i Zamość, i Przemyśl, i Tarnopol. Rośnie, jak młody zagajnik, gorąco zalecona przez Instytut Kasy Mianowskiego „Nauka na prowincji“.

W tym to młodym lesie zasadziła swe drzewko, — czy też jeśli kto woli: w tej budowli położyła swą cegiełkę autorka „Krakowa i ziemi krakowskiej“ pod węzłem konfederacji. Miała przed sobą drogę utartą i szereg wzorów do naśladowania. Bibljoteka Krakowska — prawdziwa bibljoteka, bo liczy już 70 tomów, a razem z Rocznikiem, organem tegoż Towarzystwa Miłośników, blisko setkę, — rzuciła światło na szereg ważnych momentów w dziejach Jagiellońskiej stolicy: K. Lepszy opowiadał niedawno o oblężeniu miasta przez Maksymiljana, dawniej L. Sikora o pierwszej okupacji szwedzkiej i siedmiogrodzkiej 1655—7, (w przygotowaniu praca o drugiej okupacji szwedzkiej, 1702—9), T. Kupczyński o powstaniu 1794 r., St. Stetkiewicz o r. 1830—31, J. Gollenhofer o „wiośnie narodów“, W. Tokarz o roli Krakowa wobec powstania styczniowego. Czeka na nowe opracowanie, w tej właśnie serji, bunt wójta Alberta, tumult z Tęczyńskim, Kraków wobec Sejmu Wielkiego i Księstwa Warszawskiego. Doczekała się sumiennego opracowania konfederacja 1768—72 roku, do której zresztą już poprzednio Bibljoteka interesujące dawała przyczynki.

Ale zasługa autorki nie ogranicza się odtworzeniem ówczesnych spraw miasta Krakowa. Mają swoją tradycję i psychikę wielkie, starożytne miasta, mają ją także dzielnice, a u nas dawne województwa. Stolica Jagiellońska nie nadawała jednostronnego tonu całemu otoczeniu, ale z otoczenia ciągnęła soki fizyczne i duchowe. Inaczej po okresie zniemczenia w XIII i XIV wieku nie stałaby się polskim Krakowem. Można, od biedy, zacieśniać kąt widzenia przy badaniu przeszłości innych miast, żyjących życiem zaściankowem, ale Kraków niegdyś „biskupi“, potem książęcy, królewski, stołeczny, uniwersytecki, humanistyczny, różnowierczy, koronacyjny, Kraków obecny na wszystkich elekcjach i długo dopuszczany do sejmu, wymaga badania na tle szerszem, w przyrodzonym związku z ziemią krakowską i krakowianami.

Tak postąpiła właśnie autorka niniejszej pracy. Zaczęła od reakcyjnej konfederacji krakowskiej 1767 r. pod znakiem Radomia, przedstawiła nam jej działaczów, przebrnęła przez organizacje powstańcze Czarnockiego, Czernego i Walewskiego, opisała trzykrotny pobyt w Krakowie, lub choćby tylko na Wawelu, konfederatów, oraz trzykrotne nawiedziny Rosjan. Nie da się zaprzeczyć, że obraz ziemi krakowskiej wypadł w tej książce bardziej szkicowo niż obraz miasta, bo też wogóle podstawą regjonalnej historji ziemi krakowskiej stają się dopiero jej lauda i instrukcje, których zbiór odniedawna zaczęła drukować Akademja Umiejętności. Bądź co bądź dobry początek został zrobiony. Bez uprzedzeń dodatnich czy ujemnych, barwami wziętemi wyłącznie ze źródeł, odmalowała nam autorka zarówno szczytne, jak mniej szczytne, chwile z dziejów miejskiego i ziemskiego obywatelstwa tego regjonu. Za jej śladem powinnoby iść dalej Towarzystwo Miłośników historji i zabytków Krakowa, podobnie jak i inne analogiczne towarzystwa: badać miasta w związku z ziemią a nie w oderwaniu od niej. Dopiero taką drogą dowiemy się, cośmy za jedni, co się w nas przewija i skąd wywodzi, i wówczas dopiero nauczą się poszczególne miasta i ziemie lepiej wzajemnie rozumieć, sprawiedliwiej oceniać — i jeszcze zgodniej niż dotąd współpracować.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

RUCH WYDAWNICZY

Staraniem instytutu *des Etudes Slaves* przy uniwersytecie paryskim wyszło dzieło znakomitego historyka naszego Władysława Konopczyńskiego, prof. uniw. Jagiel. p. t. „*Etude sur le developpement du principe majoritaire*“. (*Bibliothèque Polonaise II Librairie Ancienne Honoré Champion, Libr. Gebethner & Wolff* str. 280). Jest to opracowanie tematu, który poruszył w polskiej książce „*Liberum Veto*“, studjum historyczno porównawcze, 1918. Część I porównawcza została rozszerzona, gdyż obejmuje także świat starożytny i Włochy; część II, polska skrócona, odpowiednio do potrzeb cudzoziemskiego czytelnika. Książka wzbudzi duże zainteresowanie we wszystkich krajach, mających urządzenia parlamentarne, jest bowiem jedynem obszernem opracowaniem przedmiotu. Poza prof. Konopczyńskim tylko włoski prawnik i historyk E. Rufini - Avondo przedstawił w krótkim szkicu dzieje zasady większości.

*

Tow. Naukowe w Toruniu, rozwijając coraz bujniej swą pożyteczną działalność, wydaje tom za tomem piękne roczniki i prace naukowe. Przysłano nam teraz duży tom (str. 290) XXIV wydawnictwa p. t. „*Fontes*“. W tomie tym ks. prał. Alfons Mańkowski, proboszcz z Lembarku zebrał i opracował część pierwszą ustaw synodalnych i ordynacyj djecezji Chełmińskiej z XVII w. Akta podane w oryginalnem brzmieniu łacińskiem. Całe dzieło wydane po łacinie, bo w tymże języku i obszerna przedmowa wydawcy.

*

Tom 39-ty „Roczników Tow. Naukowego w Toruniu“ obecnie wydany (str. 477 i ryciny oraz plany) zawiera rewelacyjną pracę z dziejów literatury polskiej XVII w. Tadeusza Mikulskiego o Henryku Chełchowskim, oraz przepiękną pracę archeologiczną ks. dr. Wład. Łęgi „Kultura Pomorza we wczesnem średniowieczu na podstawie wykopalisk“ (cz. II). Obie te prace wyszły już osobno wydane. Ks. Łęgi w 2 tomach (cena 35 zł.). Praca Mikulskiego o Chełchowskim — 4 zł.

*

Nakładem księgarni Karola Rzepeckiego w Poznaniu ukazała się, w autoryzowanym przekładzie wydawcy, propagandowa broszura bezimiennego autora niemieckiego p. t. „Nieunikniona wojna mocarstw zachodnich przeciw Unji Sowietów — Pogrom bolszewizmu przez zjednoczoną Europę“. Przekład tej, usiłującej szerzyć szkodliwe nastroje wojenne broszury był zgoła zbędny, ogłaszanie jej w języku polskim—również. Tembardziej, że i broszura sama, pisana bez talentu, miała być—w myśl zamierzeń autora — sensacyjną, jest zaś nudną i o niczem nie informującą.

*

Dowcipny pomysł Boya z opaską na Kartezjuszu: „Tylko dla dorosłych“ znalazł godnych naśladowców. Oto Bratnia Pomoc Studentów U. J. wydała broszurkę p. t. „Szklany dom“ (już tytuł jest nęcący) z opaską, która głosi, że w tej książeczce znajdzie czytelnik ciekawe artykuły Prof. Dyboskiego, Dr. Nowaka, Orkana, Marczyńskiego i innych. Kusi ponadto ładna okładka. Kupujący spodziewa się niebylejakiej uczty duchowej, bo jakżeł artykuły uczonych, nowelki znanych pisarzy... otwiera i... znajduje propagandową broszurkę o budowie domów akad. w Krakowie, — przyznajmy: ciekawą i ładnie wydaną. Kto po pierwszem rozczarowaniu zadał sobie trud przejrzenia tej książeczki, szybko godzi się z losem. Oto znajdzie interesujący artykuł o historji Bratniej Pomocy Stud. U. J. miłe „wspomnienie“ Dr. J. Nowaka, przemówienie ś. p. rektora ks. Zimmermanna, Orkana: „O przyszłość społeczeństwa“, Dyboskiego: „Nasze domy akad. a Kolegja w Anglji i Ameryce“, ładną nowelkę Marczyńskiego p. t. „Student z Charbina“, oraz szereg informacyj o Bratniej Pomocy. Broszurkę kończy artykuł p. t. „Szklany dom“, nawołujący w pięknej formie społeczeństwo do przyjścia z pomocą. Życzymy wydawcom, by broszurka (1 zł.) znalazła jaknajwięcej nabywców i zjednała jaknajwięcej gotowych udzielenia pomocy na dokończenie domów akad. w Krakowie.

SZTUKI PLASTYCZNE

PO ŚNIE LETNIM

ZAZWYCZAJ — w przeciwieństwie do zwyczajów niedźwiedzich — Zachęta zasypia na lato. Zasnęła i tego lata. Spała, spała, spała, aż dożynkami zbudziła ją Spała. Zaczął się sezon jesienny. Ten i ów zajrzał do salonów Zachęty znęcony nowo otwartą wystawą. Lecz prędko wyszedł z pomrukiem niedźwiedzim, że Zachęta śpi jeszcze. Ocknęła się i na drugim boku zasnęła. Zaczął się zatem sen jesienny. Po jesiennym nastąpi zapewne sen zimowy — już z niedźwiedziami. Po zimowym — wiosenny, nawznak — dla kontemplacji nieba. Poczem, jak zwyczaj każe, znów sen nocy letniej — z Tytanją i całą kampanją. Budzi się ta warszawska oblubienica naserjo tylko dla odwrócenia swego zegara piaskowego w dzień zebrania dorocznego, raz w rok około Wielkiej Nocy. Spowiedź, Sumienie, Rozgrzeszenie. I znowu sen, uroczny sen.

Istnieją dwie siły, które składają się na taki zakład artystyczny, jak Zachęta: sztuka w kraju i na szerszym świecie, oraz inicjatywa samego zakładu. Działalność roczna zakładu — to wypadkowa tych dwóch sił. Nie można wszystkiego składać na karb jednej tylko strony. Poziom sztuki nie zależy od Zachęty, lecz i odwrotnie — inicjatywa Zachęty nie zależy od poziomu sztuki. Jeżeli sztukę przyrównamy do systemu rzek, które w różnych miejscach mają różne przybory i opady wód, czyli różne poziomy, to Zachęta nie jest wodomiarem, aby mierzyła tylko to, co z własnej woli przez nią przepłynąć raczy. Można potrudzić się, aby, obok nieuniknionej powszedniości, gromadzić i ukazywać oczom stolicy zjawiska niepowszednie.

Nie znam stosunków, panujących w Zachęcie, ale jest rzeczą prawdopodobną, że zapanował tam biurokratyzm. Przypuszczam, że w niebiurokratycznych sferach Zachęty utrwaliło się przekonanie o wyłącznie magazynowym charakterze zakładu. Zapewne powiedziano sobie, że Zachęta jest tylko miejscem do zamawiania i urządzania wystaw ze strony zrzeszeń artystycznych i artystów poszczególnych. Pogląd ten zaszczepił w kierownictwie bierność zupełną, ta zaś natychmiast przeradza się w biurokratyzm. Skutkiem tego powstał w gmachu Zachęty sklep dużych rozmiarów z działami sztuk plastycznych, doskonale prowadzony, ale bez ducha. Plącze się tu jeszcze resztka duszy w postaci wystaw pośmiertnych, co nie jest po kupiecku, ale ta smutna resztka tembardziej uplastycznia bezduszność całości.

Jednak, nawet z punktu widzenia najdalej posuniętej bierności, nie wolno Zachęcie pozwalać sobie na wygląd tak już beznadziejnie kupiecki. Ściany zapchane obrazami radują kupca i biuralistę, świadczą o zamożności sklepu, biją przychodnia ilością, ale niema tu za grosz estetyki w urządzeniu. Pod tym względem nawet sklepy współczesne przewyższają Zachętę, bo i tam dobroczynna moda estetyki wnętrza już obowiązywać zaczyna. Zachęta jako sklep sztuki także się spóźnia. Samo zapychanie ścian gęstymi szeregami obrazów uniemożliwia jakąkolwiek estetykę w ich grupowaniu. Sześć sal nabitych obrazami ze szczyptą rzeźb pośrodku stwarza niesamowitą nudę hurtowni. Podobne to do koszar w nocy, gdzie pokotem śpią żołnierze. Duszno i nudno. Myślę, że Zachęta przestała już być nawet miejscem dla schadzek, — takie w niej zbiorowe, jednostajne chrapanie biednych dzieł sztuki.

Trzeba koniecznie usunąć ilość na rzecz jakości, o ile ma się jeszcze uroszczenia do artykułu. Gościnnością swoją Zachęta demoralizuje artystów i ich zrzeszenia. Póki jeszcze jeden centymetr ścian wolny, póty pchają się wystawy, a tych nigdy nie zbraknie. Kupiec nie posiada poczucia nawet organizacji wojskowej, nie podzieli dzieł na rodzaje broni i na oddziały, tylko pcha je bez pamięci, aby najwięcej. Tak nie można. Trzeba mieć trochę godności własnej, odważyć się na dobór gości, a nie, obyczajem zajazdów, dzień i noc trzymać bramy otwarte. Taka gospodarka obniża nietylko poziom, ale i powagę zakładu. Odbywa się tu z biegiem czasu dobór w kierunku odwrotnym: co lepsze unika tłoku, a gdyby nawet nie unikało, to tłok je wypchnie stąd automatycznie, a jeśli nie wypchnie, to przysłoni i wręcz, nie ze złej woli, lecz samą ilością swoją unicestwi.

Gdy przez wybór uszczupli się ilość dzieł w stosunku do ścian odpowiednim, wtedy należy pomyśleć nietylko o estetyce grupowań, ale i o dekoracji samych ścian i wogóle o całem wnętrzu zakładu. Nie wymaga to kosztów zbyt wielkich, trzeba tylko inicjatywy, pomysłowości artystycznej i ręki pieczołowitej. Można było właśnie senny sezon letni wyzyskać na odnowienie wnętrz, sala po sali, w myśl jednego planu zdobniczego. Gmach Zachęty oddawna już na taką kąpiel oczekuje. Pomijam wygląd od ulicy — nielogiczny i brzydki, bo tu koszty przeróbek będą, jak na czas obecny, ciężkie na kieszeń zakładu kulturalnego. Ale wnętrza można przemalować, ustawić, ozdobić, bodaj rozłożywszy pracę na okres dłuższy. Dla dzieł sztuki konieczne jest otoczenie artystyczne. Otoczenie równie, jak same dzieła wystawiane, wpływa wychowawczo na widzów — źle, albo dobrze. Zakład, który treścią swoją obejmuje sztukę zdobniczą, nie powinien sam wyglądać niedbale i niezdobnie.

Po takiej toalecie własnej inicjatywa Zachęty powinna sięgnąć dalej, w szerszy świat sztuki. Zakład energiczny i twórczy nie wyczekuje na towar, lecz sam o niego na świecie się stara. Podobno zamówienia na sale w Zachęcie, na ściany, na kawałki ścian wypełniają zgóry rok czy bodaj dwa lata czasu. Taka jest podaż wystawców! Skoro tak, to obok wyboru, o którym wyżej mówiłem, należy skrócić czas trwania każdej wystawy. Obecnie każda wystawa trwa miesiąc. To za długo. Wystarczy dwa tygodnie. Jeśli Zachęta przytem, co łatwo zrobić, zarządzi w prasie odpowiednią reklamę, to w ciągu dwóch tygodni każdą wystawę zwiedzi tyle samo, jeśl nie więcej, widzów, co teraz w ciągu miesiąca. Zysk w tem dla Zachęty, dla artystów i dla widzów oczywisty. Wtedy zakład otrzyma jeszcze jedno ułatwienie do wyruszenia w świat na poszukiwanie i wystawianie dzieł niepowszednich. Może takie dwutygodniowe tempo ożywi obieg krwi w Komitecie Zachęty.

Oczekiwanie na podaż towaru — to nawet z kupieckiego punktu widzenia przesąd średniowieczny. Tu zatem z inicjatywą artystyczną zgodzi się i kupiecka, trzeba tylko za łeb wziąć biuralistę. Jeżeli pierwsza lepsza księgarnia w Warszawie zdobywa się na wystawy dzieł sztuki niebylejakich, to tembardziej czynić to może Zachęta. Warunek tylko ten, że zakład musi mieć kogoś jednego, kto miałby energję i talent organizacyjny, oraz znajomość rzeczy, a przynajmniej tak zwany węch zawodowy. On powinien jeździć, wyszukiwać, poznawać, namawiać, organizować. Wiadomo, że artyści sami dzieł swoich nie umieją w świat puszczać, zawsze czekają na reżysera, przedsiębiorcę, albo trzymają się jakiejś jednej drogi raz odkrytej i utartej do najbliższego zakładu wystawowego. Zachęta powinna iść do nich, a nie oni do Zachęty.

Ta inicjatywa w poszukiwaniu, odkrywaniu i organizowaniu wystawy dzieł wyższej miary nie powinna ograniczać się do sztuki polskiej. Dotychczasowy, pod rządowemi skrzydłami dokonywany, pęd „propagandowy" na zagranicę, nawiasem mówiąc, głupi i bezcelowy, należy odwrócić w ten sposób, ażeby Polska zaczęła stawać się terenem, dla zagranicznych artystów na wystawy ponętnym. Stokroć więcej zyskamy na tem, że sami będziemy poznawać, niż na tem, gdy nas inni poznają, — w dodatku — nie z własnej woli i ciekawości. Zbądźmy już raz tych pawich rozkładań ogona przed Europą, zwłaszcza dziś, kiedy ona nie wie, co więcej w Polsce podziwiać — portki premjera, czy nochala Sokala. Inicjatywa Zachęty, skierowana zwłaszcza do krajów sąsiednich, słowiańskich, romańskich i północnych mogłaby Polsce nietylko w zakresie sztuki dać pewne korzyści moralne.

Trochę zatem zalotności w toalecie własnej, przyspieszony obieg krwi w tempie wystawowem, dobór gości, oraz żyłka odkrywcza odmłodzą Zachętę, a wtedy ona tem bardziej zacznie być poszukiwana i pożądana dla sztuki o wyższym polocie. Zauważono już powszechnie, że wielu artystów, których wystawy mogą być ozdobą ścian Zachęty, tuła się po salonach prywatnych, albo z innych miast, jak naprzykład z Krakowa i Lwowa, niemal wcale do Warszawy nie zagląda. To grozi rozproszeniem sztuki. Regjonalizm jest dobry, ale w harmonji z centralizmem. Warszawa jest stolicą. Każdy warszawski zakład kulturalny powinien o tem pamiętać i dbać o to, by w jego zakresie stolica skupiała najprzedniejsze wartości kraju. Ścisłe porozumienie i współpraca zakładów artystycznych głównych miast Polski z soczewką umieszczoną w Warszawie przyczyni się i do podniesienia stolicy i do wzbogacenia kraju.

O tych wszystkich sprawach Zachęta zapewne nie myśli wcale, bo miała już dosyć czasu, aby je w życie wprowadzić, a nic w tym kierunku nie przedsięwzięła. O ile wiem, tłomaczy się ona brakiem pieniędzy. Że pieniędzy brak, to wszystkim wiadomo, ale tłomaczenie będzie o wiele trafniejsze, gdy powoła się na brak energji. Jeśli chodzi o pieniądze, to właśnie z tego ruchu i pieniądze posypać się muszą. Można zacząć tymczasem według małego stawu groblę ubijać, poczem i wód przybywać będzie, a wtedy groblę powiększać — i tak kolejno, zaś nie zasypiać snami wszystkich pór roku. Byle bobry przykładnie pracują, o żeremiona pilnie dbają, staw podnoszą, dlaczego jedna Zachęta ma być od bobrowego rodu uboższa i leniwsza?

Tyle oto mam do powiedzenia z powodu świeżo otwartej wystawy w Zachęcie. Bądź tu mądry! — powie czytelnik. Jakaż to jednak wystawa, kto i co na wrzesień jest do oglądania? O tem proszę przekonać się samemu, kto łaskaw. Ja mogę tylko zaświadczyć, że słyszałem senne chrapanie trzysta osiemdziesięciu trzech (jak mówi katalog) dzieł sztuki, ciasno, ramię w ramię, to jest rama przy ramie ubitych i że sam tu o mało nie zasnąłem. Na szczęście stanąłem właśnie w tej chwili przed dużym obrazem № 217. Autor — Jan Książek z Krakowa. Tytuł malatury — „Jatka". Rembrandt, czy nie Rembrandt? Jak mnie to rzeźnickim obuchem w łeb ugodziło, jak obudziło, jak z Zachęty precz pogoniło, tego już opowiadać nie będę. O jednem tylko widza uprzedzić muszę: ten obraz nie śpi. Proszę być ostrożnym. Ryczy i wierzga, i znienacka „bykiem" bokserskim w brzuch bije. Tu na linoleum Zachęty można paść ze śmiechu, lub z obrzydzenia. Żeby choć dyrektor kartkę wywiesił: „Ostrożnie! świeżo malowane!"... Ale nic! A w gruncie rzeczy należy ten obraz kratą żelazną ogrodzić.

Tak tedy nawet o zdrowie tu, nielicznych wprawdzie widzów niewiele dbają. Zasnęli twardym snem jesiennym po trudach snu letniego.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA MARGINESIE

Wiódł chłopiec ślepego dziadka — taki Beldonek. A ponieważ trzymały go się zbytki, więc za namową łobuzów urządził widowisko, że kazał staremu na gładkiej drodze skakać przez rowki, których nie było. Śmieszny był widok, bo stary przytem klął siarczyście. Ale ludziom nie do śmiechu było: złoili łobuzowi skórę, że wystawiał dziadka na pośmiewisko, a nieszczęśliwego osadzili w przytułku.

*

Prasa „sanacyjna" wszystko, co jej podadzą na talerzu w imię „czynnika decydującego", bierze do buzi i zachwala, zawsze wysławiając smak wielkich zapowiedzi. Tylko czasem ci z czwartej brygady niemile się dziwią. Tak sobie pozwolił teraz „Czas" konserwatywny, który, przyjąwszy poważnie orędzie z rąk p. Miedzińskiego, gdy się dowiedział o rozwiązaniu parlamentu, stwierdza: A więc to nie była zapowiedź naprawy „zasadniczych praw rządzących Rzplitą" (Ob. artykuł „Tajemnica rządu" w nr. 200). Odkrycie to przypomina owego żydka, który zapóźno się dowiaduje, że poziomka nie ma nóg. „A więc to była pluskwa!"

*

Wyraz „kandydat" pochodzi, jak wiadomo, od łacińskiego *candidus* — biały, czysty, jasny... W związku z tem krążą uporczywe pogłoski, że obóz „sanacyjny" uznał dla siebie za najwłaściwsze... nie wystawiać wogóle własnych kandydatów przy zbliżających się wyborach do Sejmu i Senatu.

*

Socjalistyczny „Robotnik" zapowiada natomiast, że przy najbliższych wyborach do Izb prawodawczych między innymi zamierzają podobno ubiegać się o mandaty: prezes Rady ministrów Józef Piłsudski, oraz naczelny redaktor „Kurjera Porannego" p. Kazimierz Ehrenberg...

Trudno zorjentować się w powodzi sprzecznych pogłosek.

*

Z nauk starego Macchiavela:

Znaczenie społeczne wymiany zdań między władcą a narodem może mieć swoją doniosłość, jeżeli zachowane są dwa warunki: 1) gdy nauka dawana przez władcę społeczeństwu jest szczytna, bo wtedy je dźwiga, 2) gdy sam władca wykonywa swe obowiązki bezpośrednie, bo gdy naród musi jego zaniedbania odrabiać, wtedy i nauki jego są zbędne i on niepotrzebny, a nawet szkodliwy.

*

Przezabawne są pozy urzędowych publicystów „sanacji", objaśniających widzom (a patrzy cały świat), co znaczy taka lub inna zmiana fotela w gabinecie ministrów majowych, tej istnej orkiestrze Kryłowa. Gdy na miejsce Sławka usiadł „czynnik decydujący" (jak piszą teraz żydzi w „Naszym Przeglądzie"), to ta zmiana— tak utrzymuje mąż stanu z najbliższego Piłsudskiemu „Kurjera Wileńskiego" — „mieści w sobie cały program, nadaje mu wyraźną treść i rzuca jasne światło na rozwój sytuacji wewnętrznej w Polsce". Zdawałoby się, że znalazł się wreszcie program i że wszystko wszyscy rozumieją i zapanowało „jasne światło". A tymczasem nikt, nie wyłączając solenizanta, nie wie, co będzie jutro i odpowiada tak, jak ten góral w Zakopanem na zapytanie, czy będzie deszcz: „nie będzie deszczu, — chyba żeby lało".

*

Jak doniosły dzienniki mianowany został następujący skład delegacji polskiej na 11-te Zgromadzenie Ligi Narodów. Delegatami są: p. minister spraw zagranicznych, minister pełnomocny Sokal i wicemarszałek Senatu Gliwic.

Pod względem przynależności rasowej, przedstawiciele rasy europejskiej stanowią w delegacji polskiej $33^1/_2$%, przedstawiciele rasy azjatyckiej (żydowskiej) — $66^2/_3$%.

*

Pan Artur Śliwiński premjerem był tylko tydzień. Państwo narodowe prędko się od niego obroniło, ofiarowano mu łatwiejsze stanowisko pogrzebowe — teatr Narodowy. Wszedł do niego przez „lożę" i, gruntownie załatwiwszy się w ciągu paru lat z tą instytucją, wyszedł teraz schodami bocznemi. Od miasta dostał krzyżyk na drogę i odczepnego 20,000 zł. Cóż pocznie? Dawne miejsce mocno obsadzono (na państwo trzeba kogoś mocniejszego). Podobno z funduszem uzyskanym przystąpi do założenia zakładu pogrzebowego przy Kasie Chorych. Pan Prystor się postara, żeby zakład był rentowny.

ERRATA· W artykule Wacł. Sobieskiego p. t. „Branka pruska w 1813 r. w Nr. 35 „Myśli Narodowej" na stronie 545 wiersz 27 od dołu zamiast „a może i naszej Akademji" ma być oczywiście „a także i naszej Akademji", a wiersz 21 od dołu zamiast „bujać" ma być „bajać".

W artykule K. L. Konińskiego w Nr. 33 str. 513 w ostatnim przypisku wiersz 6 powinno być „w waszym czynie" (nie w „naszym").

Przypominamy naszym czytelnikom o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV b. r. — 9 zł.

Jednocześnie załączamy blankiety przekazowe P. K. O.

Nieopłacone egzemplarze za kwartał III zostaną z dniem 1 października wstrzymane.

LUDZIE NOWOCZEŚNI
podróżują wyłącznie
samolotami
szybko--tanio--wygodnie.

Stuprocentowe
bezpieczeństwo

NAKŁADEM
MŁODYCH OBOZU WIELKIEJ POLSKI
UKAZAŁA SIĘ BROSZURA
JANA REMBIELIŃSKIEGO
DNIEPR I WISŁA
(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ)
CENA 60 GROSZY

APLIKANT ADWOKACKI
POSZUKIWANY.

Zgłoszenia z referencjami:
Sosnowiec, ul. 3 Maja 15, adwokat Kozielski.

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA"
SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ

Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości.—Terytorjum i granice.—Polski patrjotyzm.
CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH

Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.
CENA 5 ZŁ.

Skład główny w księgarni Ossolineum
w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

OSTATNIE PRACE LITERACKIE
ZYGMUNTA
WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciecha) . . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.") 1.20
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff) . . . . 4.—
Współcześni (Gebethner i Wolff) . . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciecha) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria", Ossolineum) . . . 5.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.